

***POZA KONFESJONAŁEM***

*Wszystkim dziewczętom,  
które poznałem, mogłem poznać,  
i jakie - mam nadzieję - jeszcze poznam.*

I

Wszystko zaczęło się w Kielcach od pamiętnego 14-go lipca 19... roku. W czwartek. Dochodziła właśnie 18 minut 40, gdy do uszu mamuśki dobiegło:

– Syn! Ma pani syna!

Muszę mówić? To byłem ja. Powtarzam: Ja! –Krzysztof Goldberg.

Niektórym to się szczęści, co? I to już od samego początku!

xxx

Dziwicie się zapewne, że tak dokładnie zrelacjonowałem to zdarzenie, jak bym co najmniej przy tym był.

Byłem.

Mówię: – Byłem!

xxx

Co nastąpiło dalej, nie pamiętam – urwał mi się film. Myślę, że to przez ten szok termiczny i nagłą zmianę otoczenia. Poza tym jeszcze jakiś sadysta tak mi przyrznął w pupinę, że aż się rozplakałem. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego to zrobił. Myślę, że musiał mnie sobie z kimś pomylić.

Tak, na pewno tak właśnie było. Ludzie są do siebie niezwykle podobni – i to nierzadko nawet cholernie łudzaco!

xxx

Nie wiem jak wy, ale ja od tamtego czasu wprost nie cierpię wszelkiego rodzaju budzików. Chociaż zauważyłem też, że niektórzy nie potrafią bez nich żyć.

Też mi nałóg!

xxx

Kiedy już odzyskałem świadomość, powoli do siebie dochodziłem, nastąpiła kolejna wpadka – tym razem w żłobku: biegunka toksyczna. Tutaj ojciec po raz drugi stanął na wysokości zadania – po raz pierwszy zrobił to, naturalnie,

przy moim poczęciu – i jego krew, mimo że poważnie wzburzona procentami, uratowała mi życie. Teraz nie udałby mi się po raz drugi ten numer: ojciec odszedł do „krajny wiecznych łowów” na spotkanie z wielkim Manitou, a stacje krwiodawstwa notują ciągły regres.

Zdarza się.

xxx

Jednego tutaj możecie być pewni: gdyby już wówczas istniał tak opłakany stan krwiodawstwa, nie byłoby ani Beaty, ani Joanny, ani Ingi, ani Małgorzaty, ani Doroty, ani Renaty, ani także Anny. To znaczy, ściślej – one by były, nie byłoby mnie – tym samym nie byłoby i tej opowieści.

Żadna strata?

No, tutaj, moi kochani, cokolwiek bym polemizował! Aczkolwiek...

xxx

Jeżeli myślicie, że to mnie czegoś nauczyło – mam tu na myśli moje sławetne wywinięcie się z objęć śmierci – to jesteście w błędzie. Wszyscy co do jednego. I ty też Krzysztofie Goldberg! Niczego mnie to nie nauczyło, więc o żadnym doświadczeniu nie może być mowy. Udało mi się i tyle.

– Z drogi! Z drogi! Ziarno dla ślepej kury!

xxx

Uwaga – co do dzisiejszego stanu krwiodawstwa:

Do wielu chyba dosyć opacznie dotarła treść hasła: „Krew darem życia”. Coraz więcej bowiem trafia się sknerów. Co najmniej, jakby każdy miał w rodzinie wampira na utrzymaniu.

O, Boże! Daleko na tym wózku nie zajedziemy.

xxx

Ja jednak od tego momentu rosłem sobie w najlepsze.

– Ciip – cip – cip – cip – cip – cip – ciip!

xxx

Pewnie jesteście ciekawi, co to za imiona, które wcześniej wymieniłem? Otóż, Beata – to moja pierwsza miłość. Joanna – druga, bardziej miłostka niż co innego; trzecia – Inga, jeszcze mniej – zwykła przygódka; czwarta – Małgorzata; piąta – Dorota; szósta – Renata; ostatnia, siódma, to Anna. I po pierwsze – nie taka ostatnia, a po drugie – ostatnia, na jakiej się zatrzymałem. Poza tym, jak dotąd, ta miłość jest akurat najdłuższa – trwa już całe sześć miesięcy bez trzech dni.

Nie wiem, ale zauważam, że coraz bardziej upodabnam się do psa: cholernie szybko się przyzwyczajam. Właśnie jak pies do budy.

xxx

Tak między nami: mam przeraźliwie dużo przyzwyczajęń. Jedno z nich, to kuchnia. Dlatego, mimo swych ukończonych już trzydziestu trzech lat, nadal mieszkam z mamusią. O innych skłonnościach lepiej pomilczę.

Albo powiem.

Mówię przecież że powiem!

Potem.

xxx

Okej, okej! Mówię: podobają mi się dziewczyny.

xxx

– Cha, cha, cha, cha!... Wariat, czy co?

xxx

Zainteresowanym odpowiadam: Jeżeli już, to Kolumb.

– Ameryka! Ameryka przed nami!

xxx

Taką właśnie Ameryką jest dla mnie Anna. Nadal, mimo sześciomiesięcznej, co tu dużo mówić, zażyłej znajomości, pełna nieznanego, niezbadanych dotąd lądów i niespodzianek. Wiem, co mówię. Wy też byście śpiewali na tę samą nutę, gdybyście ją znali. Z tego chóru po prostu nie sposób się wyłamać. Tak to już jest.

xxx

Poznałem ją na zabawie andrzejkowej u Renaty – mojej przedostatniej namiętności, która zresztą również datowała się od jakiejś bibki. Wszyscy mieliśmy już porządnie w czubach, ale bawiliśmy się wyśmienicie. Było wszystko: i śmiech, i krew, i łzy – jak na polskiej porządnej zabawie przystało. Dobrze już po północy mieliśmy tak wszystkiego serdecznie dosyć, że legliśmy pokotem gdzie popadło. Zasnąłem z miejsca. Po jakimś czasie obudziło mnie mocne szarpnięcie i poczułem czyjąś rękę między nogami. Świtało. A trzeba wam wiedzieć, że nad ranem przeważnie jestem cholernie męski – i to bez żadnych dodatkowych bodźców oprócz snu, więc efekty pojawiły się znacznie wcześniej, zanim ta tajemnicza dłoń tam się nie znalazła. Dalej już było tak, jak jest przeważnie według niepisanego scenariusza. Aha, nie muszę wam chyba mówić, kto był właścicielem owej dłoni? Oczywiście, Anna. Odtąd, można powiedzieć, byliśmy dobrymi znajomymi. Z każdym następnym dniem zresztą coraz lepszymi.

A nie mówiłem, że to „zażyła znajomość”?

xxx

Aneks do tego, co wyżej:

„Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.”

Można to potraktować jako radę. Wolna wola!

xxx

Potem Anna miała oczywiście pewne wyrzuty sumienia i starała się wszystko, albo prawie wszystko zrzucić na alkohol i w ogóle na swój stan psychiczny. Fakt, nie była w najlepszej formie. Za to w fizycznej była przygotowana do zdobywania wszystkich „ósmiotysięczników”. Jak leci! Przy moim boku, naturalnie, nie Reinholda Messnera.

Przy moim!

xxx

Później mnie zapytała:

– I co o mnie teraz myślisz?

– O tobie?

– O mnie.

– Pytasz mnie, co o tobie myślę?

Skinęła głową.

– Zgadza się. Dokładnie o to cię pytam. Co o mnie myślisz, teraz?

– Chodzi ci o to, że tak szybko – za szybko powędrowaliśmy do łóżka, to znaczy ...

– To znaczy, że wpakowałam ci się do łóżka i spólkowaliśmy ze sobą. I przestań się wreszcie pułtać niczym niedopieprzony prawiczek.

Przyznam, że zabiła mnie z tropu. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nigdy wcześniej nie tylko że nie byłem w takiej sytuacji, ale w ogóle nie rozmawiałem w podobny sposób, to znaczy tak obcesowo, bez pardonu.

– Więc? – przynagliła.

– Cóż, jeżeli jesteś zdrowa, to myślę, że wszystko jest w porządku.

– Nie uważasz, że jestem zanadto rozwiązła?

– Nie. Nie zastanawiałem się nad tym.

– To znaczy nie jestem rozwiązła, czy nie zastanawiałeś się nad tym?

– No, nie zastanawiałem się nad tym. Ale nie myślę, żebyś taka była.

– Dlaczego?

– Bo gdybym ja nie był podobny w tej kwestii do ciebie, to nic by z tego nie wyszło. A ja za rozwiązłego raczej się nie uważam.

– Tak. Chyba masz rację.

– Poza tym, nie wiem czy ci to już mówiłem, ale bardzo mi się podobasz. Naprawdę.

Wicie, co odparła?

– Gratuluje ci dobrego gustu – powiedziała.

Tylko tyle. Proste, nie?

xxx

Nawet nie przypuszczałem, że życie potrafi być tak diablo proste, w ogóle nieskomplikowane.

Więcej powinno być takich nauczycielek na tym bożym świecie. Dużo więcej!

xxx

A propos nauczycielek:

W podstawówce nie należałem raczej do orłów. Jeżeli już czymś się wyróżniałem, to chyba jedynie ilością absencji w niej. Gdyby jednak ktoś był bardzo dociekliwy, dowiedziałby się ku swojemu zdziwieniu, że nie kto inny jak właśnie ja miałem na swoim koncie najwięcej przeczytanych książek w klasie – a może nawet w całej szkole. Ale to akurat nikogo nie obchodziło – a już najmniej polonistkę. Zresztą, i vice versa. Ani nauczyciele, ani szkoła nie pociągały mnie w żaden sposób. Budynek zimny, oni chłodni, nic dziwnego zatem, że ciągnęło mnie do ciepła – do słońca! Uważałem, że tam też się czegoś nauczę. Tak to już jest z niektórymi: jeżeli czegoś nie przeżyją, nie doświadczą na własnej skórze – nie uwierzą. Ja, tak się składa, jestem jednym z nich. Można



powiedzieć, że w ten, być może odrobinę niecodzienny sposób, ładowałem akumulatory, żeby wam właśnie dzisiaj o tym opowiedzieć.

No co, czas już chyba je włączyć?

Uwaga!

Sru!!! ...

xxx

Poszło!

## II

A więc:

Nazywam się Krzysztof Goldberg, mam trzydzieści trzy lata i mieszkam z mamusią, jak zdążyliście się już zorientować. Nie będę nikogo przekonywał, że wszystko, co wam tutaj powiem, jest najczystsą prawdą – bo prawda, co prawda, jest jedna, jednak jej percepcji przez nas i późniejszych relacji, wiele. Kto uwierzy – to dobrze, kto tego nie zrobi – też nieźle; świat od tego się nie zawali i włos nikomu z głowy nie spadnie. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz warta odnotowania: jak dotąd nikogo jeszcze nie zdeflorowałem – co jest, niestety, prawdą, tym bardziej smutną, że z gatunku tych niepodważalnych! Zawsze bowiem dzieje się tak, że trafia mi się „towar z drugiej ręki”. Nie znaczy to, oczywiście, że nieświeży, ale, krótko mówiąc, nie wszyscy jednak rodzą się w czepku. Oprócz pielęgniarek, naturalnie.

Myślicie, że jest to bardzo krzywdzące?

xxx

Przyrzekam sobie więcej o tym nie myśleć. I o kilku jeszcze innych rzeczach, od których można zwariować.

Zuch chłopak!, nie?

Phi, zawsze taki byłem.

xxx

Z tymi wagarami, to zaczęło się raczej dosyć wcześnie, bo już w pierwszej klasie podstawówki. Nie pamiętam, ilu nas się wtedy zerwało z lekcji, ale na pewno nie mogło być więcej jak pięciu, no – góra sześciu. Jeden z nas oskubał drugiego z jego zaskórniaków przeznaczonych na wpłatę na SKO i podzielił je na kilka części – między innymi wliczając w to mnie. W wyniku tej opacznie pojętej

dziecięcej solidarności, po raz pierwszy w życiu poczułem smak szmalu i jego potęgę. Przyszłość, przyznacie, kroila mi się wcale obiecująco. Niestety, stan ten nie trwał zbyt długo – lizaki, które zakupiłem za udziały w tej mojej pierwszej nieformalnej spółce, skończyły się jeszcze tego samego dnia. Więcej – tego samego dnia obskoczyłem również porządne manto w domu. Ale taka lekcja niczego mnie nie nauczyła. W trzeciej bowiem klasie smak wagarów powrócił, by na dobre rozkwitnąć w siódmej, w ciągu której zaliczyłem więcej wakacji niż zajęć w szkole. Oczywiście, efekty tego wcześniej czy później przyjść musiały. Ale ja zawsze byłem honorowy:

– Kelner! Rachunek proszę!

xxx

Dlatego nie dziwcie się młodym ludziom, że nie zawsze ciągnie ich do szkoły. Dziewczyny tam jeszcze młode, płochliwe, a nauczycielki, jak to nauczycielki, służbiste i preferują modę maxi.

Ach te nieszczęsne konwenanse! Przez nie nie ma nawet na czym oka zawiesić. Ciągle tylko tablica, tablica i jeszcze raz tablica. Aha, i jeszcze kreda. I gąbka. Naprawdę, zwariować można!

xxx

Luźna uwaga:

Matki nie muszą być seksowne, lecz żony więcej niż być powinny(!)

Nauczycielki nie są tutaj samoistną wyspą.

xxx

Aha, mówiłem wam już ten dowcip? Anna uczy w szkole. Angielskiego.

Ale ubaw, co? Po pachy!

xxx

Powiedziałem do niej kiedyś:

– Ktoś tutaj chyba z kogoś kpi.

– Nie rozumiem...

– Byłbym ostatni, który by pomyślał, że na stare lata przygarnie mnie jakaś belferka.

I wiecie, co odpowiedziała?

– Życie dla niektórych to wieczne przedszkole, kochanie.

Tyle.

xxx

Zastanawiam się, gdzie dzisiaj bym wagarował, gdybyśmy mieszkali razem.

Cholera, więcej rózu, rózu więcej!

xxx

A propos rózu: Najczęściej ten kolor występuje w dzieciństwie. Potem, gdy powstałe w czasach naszej niedojrzałości mity naszej wyobraźni pryskają jeden po drugim jak bańki mydlane, kolor ten staje się stopniowo deficytowy, aż w końcu dzieje się tak, że zanika zupełnie.

Myszę, że lepiej bym zrobił, gdybym został malarzem. Albo optykiem. Albo szklarzem. I tak dalej, i tak dalej.

xxx

Gdyby ktoś nie wiedział:

Dorastanie nazywa się – r o z c z a r o w a n i e (!).

xxx

Ktoś nie wie?

xxx

Trata-tata!

xxx

Wspomnienie z przeszłości:

Podstawówkę, jak się domyślacie – i słusznie – przebrnąłem z pewnymi oporami. Najpierw zmieniłem szkołę i jeszcze tego samego roku zaliczyłem po raz drugi siódmą klasę. To dlatego, że lubię dokładnie przyswoić sobie wiedzę, a nie byle jak – po łebkach. Poza tym, niestety, przyszło mi ją opuścić także bez większych doświadczeń erotycznych. Powiedziałem – bez większych! Dobrze już jednak orientowałem się, co w trawie piszczy.

Oh, yeah!

xxx

– Kiici – kici – kici – kici – kici...

xxx

Tutaj jednej osobie jestem szczególnie wdzięczny za wkład, jaki wniosła w moją edukację seksualną. To Michalina Wisłocka. Jej artykuły w „Razem” zrobiły swoje. Inaczej, krótko mówiąc, „poczta pantoflowa” w tym temacie mogła mi upichcić wyjątkowo niesmaczne danie, za które płaciłbym do dzisiaj rachunek. A tak, dzięki znajomości jej kuchni, kilka lat później zachowałem się podczas mojego pierwszego wypadu w okolice ars amandi, jak stary wiarus. Nawet Beata nie uwierzyła mi, gdy jej powiedziałem, że to ona właśnie była pierwszym masztalerzem, który poskromił moją narowistość i osiodłał.

Patataj – patataj – patataj...

xxx

Jaka ona była – ta pierwsza?

Brunetka. Zgrabna. W dowodzie miała wpisane: wzrost – wysoki; oczy – niebieskie; znaki szczególne – nie ma.

Mówię wam – mało który jadł lepsze ciasteczko. Płyś, napoleonka i beza w jednym!

xxx

Aha: Gdyby mi się wtedy udało wpaść, miałbym już dzisiaj kilkunastoletniego brzdąca.

Tylko ciii!

xxx

Brrr! Brrr! Brrr! Brrr! Brrr!...

xxx

– Głuchy jesteś? Telefon do ciebie.

To mama. Urocza kobieta. Tutaj, niestety, musicie polegać na moim guście: albo trampki, albo garnitur – taki jestem! Poza tym zauważyłem, że coraz częściej strzelam okiem za nastolatkami.

Myślicie, że to już pedofilia? Co?

xxx

To z teatru. Zainteresowani są jedną z moich trzech sztuk, które im wysłałem na początku sezonu. Prawdę mówiąc, nie wiem którą – nie byli jedynymi, których nimi zalałem. Są za to jedynymi, którzy się odezwali. Poza tym dwanaście miesięcy to niezły kawałek czasu – mam prawo nie pamiętać. Niemniej, z dwojga złego, zawsze to lepiej późno niż wcale. Mimo wszystko.

To ci dopiero pociecha, co? A jaka perspektywa!

xxx

Koniec końców umówiliśmy się za mniej więcej trzy miesiące, na wrzesień. Zapomniałem tylko spytać, którego roku. Tak poza tym wcale miła rozmowa. Bardzo.

xxx

Pytanie, które zadaję sobie od dawna:

Czy te niewątpliwie ciężkie czasy, w jakich żyjemy, rzeczywiście odbijają się na sztuce, czy może to właśnie ludzie zawiadujący nią, odbijają się na niej bardziej?

Ciężki orzech do zgryzienia.

xxx

– Przepraszam, czy mógłby mi ktoś podać „dziadka”?

xxx

– Uuuuuuu!

xxx

Jedno jest pewne: cokolwiek mi zaproponują – przyjmę. Na kaprysy i grymasy mnie nie stać. Jeszcze!

Czyżby pierwsze sny o potędze?

xxx

Ale! Znam gorsze grzechy od grzechu pychy. Wy nie? Poza tym, czemu od razu sny? Ja wiem, że tak będzie. Inaczej niech wszystkie karty szlag trafi i żyjących z nich kabalarzy też zanadto nie oszczędza!

„Niech się stanie” – rzekłem. Za Panem. Jedynie za Panem!

xxx

Oczywiście że nie jestem mściwy. Ani pamiętliwy. Ale jakaś sprawiedliwość w końcu być powinna, co nie?

No!

xxx

Jeszcze słówko o potędze:

Anna mówi, że z „tym”, to... Zresztą, nie wasza sprawa, co mówi Anna. Powiem wam tylko, że nie dałem plamy, kiedy poszliśmy po raz pierwszy na całość. Resztę dośpiewajcie sobie sami.

xxx

Dla ułatwienia podaję tekst – niepełny oczywiście:

„Głęboka studzienka, głęboko kopana...”

I tak dalej, i tak dalej.

xxx

Nie wiem, może otworzę szkołę?

– Hola, stop! Stop! Powiedziałem – „może”. Jeszcze się zastanowię.

Ale niektórzy w gorącej wodzie kąpani!

xxx

Aha! Wczoraj znowu, ni z gruszki ni z pietruszki,  
Anna powiedziała:

– Kocham cię.

Z grubej rury zaczyna – pomyślałem. Ale odparłem:

– Ja też cię kocham.

– Rzeczywiście?

– Wiesz o tym.

– To zrób mi dziecko.

Zgłupiałem.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście!

– Na pewno dobrze się zastanowiłaś? Wiesz, to nie  
jest...

– O co ci chodzi? Chcę mieć po prostu dziecko. Z  
tobą. Reszta się nie liczy. Czy naprawdę tak trudno to  
zrozumieć?

Fakt, nietrudno. Przyznam – trafiła mnie: wie, że  
jestem nieśmiały – nie śmiem odmówić niczego żadnej  
kobiecie, tym bardziej jej. Ale z drugiej strony nie czuję w  
sobie jeszcze głosu ojcowania, więc zacząłem w końcu  
trochę lawirować, wyczuwając jednak podskórną, że czas  
egzekucji zbliża się nieuchronnie.

– Nie mamy ślubu, mieszkania – próbowałem  
oponować.

– Mieszkanie wynajmiemy – najmniejszy problem.  
Co do ślubu – sam dobrze wiesz, że to nie ma aż takiego  
znaczenia. Może kiedyś – w przyszłości, teraz to nie waży w  
ogóle.

– Niedługo skończy mi się zasilek – nie dawałem za  
wygraną.



– Przestań się wreszcie czepiać wszystkiego, jak pijany płotu. Co ma wisieć, nie utonie – zakończyła stanowczo.

To mnie dobiło. Chociaż do pełnego ukrzyżowania było jeszcze kawałek drogi.

xxx

Uważacie, że to było fair z jej strony tak postawić sprawę?

Głęboko się zastanowię, co do przyszłości z tą dziewczyną. Po prostu nie lubię jak ktoś gra znaczonymi kartami. Takimi może grać jedna osoba w rozdaniu ze mną: ja. I tylko ja! Jak demokracja, to pełną gębą, a co!

xxx

Pewnie zastanawiacie się, dlaczego z nią jestem? O to samo można by z równym powodzeniem i ją spytać. Odpowiedzi, myślę, byłyby bardzo zbieżne:

– „Przyszła kryśka na Matyska”! Albo: „Trafiła kosa na kamień”. Albo jeszcze inaczej: „Na pochyłe drzewo, to i...”, „... Salomon nie naleje”. Z pustego zresztą. Co? Że coś nie tak? Że pomyliłem? A myślicie, że bycie z tą kobietą, to nie czyste szaleństwo?

### III

Wracając do przeszłości:

Szkoła średnia, to również nic specjalnego i największa, jak dotychczas, pomyłka mojego życia. Zostałem elektrykiem. Fakt, wcale popularna profesja – szczególnie u nas, i daje świetny start w świat polityki. Nie każdy jednak elektryk nadaje się na prezydenta. Zresztą, nie tylko elektryk. Poza tym nie ma nic gorszego od nieudanych powtórek – nawet tych z rozrywki. Historia, myślę, nigdy by mi tego nie wybaczyła. Nie będę więc z Nią zadzierał – nawet się nie przymierzę! Są bowiem takie walki, w których lepiej zawczasu rzucić ręcznik na ring, niż potem zapomnieć języka w gębie. Możecie mi wierzyć, wiem co mówię – nieraz sekundant i ręcznik ratowali mnie z niemałych opresji.

xxx

Otwierają się drzwi, wchodzi Anna i, jak gdyby nigdy nic, już od progu zrzuca z siebie szmatki. Nawet nie raczyła zapytać, czy mi nie przeszkadza i czy w ogóle mam na te igraszki ochotę.

Otóż nie, nie przeszkadza! O każdej godzinie dnia i nocy jestem łasuch na łakocie – choćby i tylko ich namiastkę. Tylko, skąd ona to wie, szelma!

xxx

Co tu dużo mówić: albo zna mnie jak zły szeląg, albo po prostu czyta w moich myślach. Zresztą, z moją twarzą, na dobrą sprawę, niczego nie można ukryć. Nawet operacja plastyczna nie byłaby tutaj żadnym rozwiązaniem.

– Nie strzelać!, poddaję się. Poddaję!

xxx

Twarz. Zawsze miałem z nią kłopoty. I przez nią.  
Bywa.

xxx

Potem powiedziała:

– Rozmawiałam dzisiaj w sprawie mieszkania.

– Słucham?

– Prawdopodobnie wynajmę pokój w hotelu pracowniczym.

– Za ile?

– Nie wiem. Jak się coś zwolni.

– Pytam – za ile miesięcznie?

– Nie zrujnuję się – 800 tysięcy.

Trafiała mnie raz za razem. Niczym koszykarka ze stuprocentową skutecznością.

– Przerażony?

– Ja? Dlaczego? – próbowałem udawać bez troskę.

– Masz taką minę, jakbyś co najmniej zobaczył wampira.

– Nie, wszystko w porządku – kłamałem, czując się jednak jak skazaniec tuż przed egzekucją.

– Sam przecież mówiłeś, że chcesz się wyprowadzić.

Przytaknąłem.

– Poza tym przestaniemy wreszcie bić rekordy szybkości w robieniu „tego”, gdzie popadnie.

Fakt. Co prawda, to prawda – jeżeli nawet jest to część jej strategicznego planu. Bo w charytatywność tych słów jakoś trudno było mi uwierzyć.

xxx

To prawda – z zamiarem wyprowadzki noszę się już od dawna. Nie, wcale nie to, żeby mi było jakoś szczególnie źle. Wręcz przeciwnie – można powiedzieć, że mam jak u Pana Boga za piecem. Piec zawsze ciepły, domowy, a na nim jedzonko, mówię wam, palce lizać! Żyć nie umierać! Jeden tylko szkopał tkwi w tym wszystkim: cholernie głupio się

czuję, gdy wiem, że drzwi nie posiadają zamka. Niby nikt nie wejdzie bez pukania, ale wiecie jak to jest: sto razy ktoś zapuka, a za sto pierwszym:

– Och! Zboczeńcy!

xxx

A myślicie że przez co ta nerwica żołądka? Właśnie, właśnie – przez te cholerne drzwi! Sami więc widzicie: muszę sobie czegoś poszukać, chcąc nie chcąc.

xxx

Prawdę mówiąc trochę przesadziłem: przypadłość ta zaczęła się już znacznie wcześniej. Przez tę nieszczęsną nadwrażliwość. Od kiedy pamiętam zawsze byłem stresowy. No, poza jednym wyjątkiem: kiedy zostałem rozprawiczony.

Od czegoś w końcu trzeba było zacząć tę nierówną walkę z wewnętrznym demonem!

xxx

Mój pierwszy raz? O, Boże!, to było tak dawno, dziadki moje, że śmiało moglibyście mnie obwołać św. Mikołajem. I to bez dodatkowej charakteryzacji na dobitkę!

xxx

Jak już wam wcześniej wspomniałem – nieźle zapowiadałem się w „te” klocki. Ale to, co wyprawiała Beata w temacie „seks oralny”, przechodzi ludzkie pojęcie. Niejeden z was powiedziałby krótko: „W pale się nie mieści!”. Ja, pamiętam, skwitowałem to wówczas jednym zdaniem:

– Kochanie, ale masz gadane!

xxx

Ach te kobiety, co one potrafią z mężczyznami zrobić!  
Cyrk. Istny cyrk!

xxx

Tak na marginesie:

Nasza obecna pani premier też jest świetną oratorką. I nadal, co nie jest bez znaczenia, panienka!

Boże! Jak ja zazdroszczę tym chłopakom z rządu. Jak ja im zazdroszczę!

xxx

Od jutra zapisuję się na kurs fotograficzny: muszę się w końcu nauczyć dobrze ustawiać. Znudziło mi się ciągle asystowanie życiu, a co!

xxx

Ale powracając do tematu:

Czy kochałem Beatę? Wtedy wydawało mi się, że tak. Dzisiaj mam pewność, że tak mi się tylko wydawało. Zauroczenie – złudzenie. Niby niuans, jednak cholernie istotny. Niemniej pewnych oczywistości to nie zmienia: była moją pierwszą nauczycielką i zawsze będę jej za to wdzięczny, co dla mnie zrobiła – bez względu na to, że to ona potem ciągnęła więcej korzyści z naszego układu.

Tak to już jest: drapieżny kapitalizm wszędzie wpycha swoje macki.

xxx

Poza tym jeszcze jednego dzięki niej się nauczyłem: nigdy nie okazywać zazdrości. To uczucie potrafi rozwalić każdy związek. Bez wyjątku.

Nie myślcie tylko, że Beata była jedynie moim poligonem doświadczalnym. Po prostu – tak wyszło. Czysty traf: pif – paf!

xxx

Tak sobie pomyślałem, że jeżeli już jesteśmy przy temacie, to w zasadzie mógłbym wam teraz powiedzieć co nieco o poligonie. Tyle że jest drobny problem. Niestety, tak się złożyło, że nie zaliczyłem ani jednego. Oczywiście,

byłem w wojsku, tyle tylko, że nie zdażyłem na żaden z nich się załapać.

Zdarza się. Nie wszyscy mają pecha.

xxx

No, zaczyna się: zapomniany ząb zaczyna dawać znać o sobie. Jednemu upiecze się z poligonem, innemu z zębami – każdemu coś od życia. Tylko dlaczego nikt mnie nie zapytał, co ja wybieram! Jakby jedna z opcji totolotka – na „chybił trafił”, była tutaj najlepszym rozwiązaniem. Poza tym, ciekawe, czy On, to znaczy Najwyższy, też ma zęby? Cwaniak jeden!

xxx

Hm? Błóżnierca?

Cogito, ergo sum!

Tyle.

xxx

Tak a propos:

Jeżeli Bóg stworzył nas na wzór i podobieństwo swoje, to, przyznacie, ale nie najlepsze świadectwo sobie wystawił. Nie tylko jako twórca.

A może dzieło przerosło Mistrza?

A może to uczeń stworzył Mistrza na wzór i podobieństwo swoje i miarę własnych potrzeb?

Kto wie? Kto wie?

xxx

Konkluzja:

Prace ręczne powinny być częściej kontrolowane. I to bez względu na ich wykonawcę!

xxx

– Mogę sprawdzać!

A co, ja niby gorszy jestem?! Też w razie czego mogę patrzeć na ludzi „z góry”. Kwestia umiejętnego treningu. W

końcu zawsze byłem sumienny i pracowity, zawsze się przykładałam do tego, co robię. Oczywiście, że mam na to świadków.

– Dziewczęta! Dziewczyny! Pan chciał z wami porozmawiać.

xxx

I jak, mocne karty, co? Nigdy nie gram blotkami albo znaczoneymi. Wolę już lepiej odejść od stołu – taki jestem! Wszystkie moje dziewczyny wiedzą coś na ten temat. Beata, niestety, próbowała kiedyś zagrać taką talią. Powtarzam – „próbowała”!

Powiem krótko: to było jej ostatnie rozdanie w grze ze mną.

xxx

– Anno? Przełoż.

#### IV

Wyciągnąłem dzisiaj Annę do teatru. Na sztukę bardzo modnego ostatnio dramaturga starszego już pokolenia Bogusława Schaeffera. Kiedyś byliśmy na jednej jego rzeczy: „Tutam”. Teraz grali „Seans”. Za pierwszym razem Anna miała mieszane uczucia – ja zresztą również – więc nie pozostawało nic innego, jak tylko zaryzykować po raz drugi. Chociaż, tak między nami, wolę tańsze ryzyko. Ale posłuchajcie, co powiedziała Anna po spektaklu:

– Wiesz? Jego sztuki posiadają jeden niezaprzeczalny walor: w którymkolwiek miejscu ich akcji się obudzisz, zawsze będziesz wiedział gdzie się znajdujesz: aktorzy bowiem są tak mili, że o tym co jakiś czas przypominają. Gdyby tego zabrakło, rzeczywiście, mogłabym się poważnie pomylić i pomyśleć, że znajduję się na jakimś nieudanym kabarecie.

Po chwili dodała:

– Jeżeli tak wygląda dzisiejsza awangarda w teatrze, to wybacź, ale następnym razem wybiorę po prostu kabaret. Tam przynajmniej nie ma fałszu i złego udawania.

I co wy na to?

Na odchodne rzuciła jeszcze:

– Alternatywa to też nie jest.

Cała Anna! Cała ona!

xxx

Oczywiście, nie sugerujcie się tym, co mówi Anna. Zawsze miała bardzo emocjonalny stosunek do wszystkiego – na tyle już ją poznałem. Niemniej jedną rzecz posiada wykształconą w sposób niemalże doskonały: intuicję. Nieraz już przekonałem się o tym. Jakkolwiek wszyscy odpowiadamy za siebie.



„Wolność Tomku w swoim domku”! – jak to mówią.

xxx

Moja refleksja na temat spektaklu:

To prawda, jest to inne od tego, do czego zdążyliśmy się przez wieki przyzwyczaić. Ale prawdą jest również i to, że nowinka w jakiegokolwiek dziedzinie sztuki nie jest jeszcze arcydziełem. I, jak każda zresztą nowinka, wcześniej czy później przeżyje się. Taki już los nowinek.

Krótko mówiąc: nowinki – kpinki.

xxx

A wiecie, gdzie miała miejsce największa kpina w moim dotychczasowym życiu? Nie zgadniecie. Dla ułatwienia mogę wam podpowiedzieć, że w jednym z najpoważniejszych miejsc pod słońcem. Wręcz śmiertelnie! Uhm – ciepło... ciepło... ciepłej... gorąco! Otóż to – w wojsku! Gdy ze szkoły dla podoficerów w Walczu wyleciałem rzeczywiście „z prędkością światła na wysokości lamperii”, raptem po dwunastu godzinach od chwili mojego pojawienia się tam. Powód? Koligacje rodzinne z Zachodem! Wówczas zresztą wysoce niepożądane. Co innego dzisiaj, ale wtedy – w stanie wojennym!

Cóż, co kraj, to obyczaj.

xxx

To jednak jeszcze nie koniec draki. Po prawie trzech tygodniach pobytu na „zwykłej” kompanii, wystrzelili mnie, bez żadnego pardonu, do innej jednostki, oczywiście, mniej groźnej i istotnej z militarnego punktu widzenia dla ciągle wężącego wroga. Zrobili to, gdy tylko powiedziałem im o moim bracholu służącym w wojsku amerykańskim w randze sierżanta i, przy okazji, odmówiłem współpracy. Cholera!, prawdopodobnie szpiegowskiej. Pamiętam jak dziś, co wtedy powiedziałem:

– Nie będę działał na szkodę mojego brata, a syna mojej mamy.

Tyle.

Ale byłem bezczelny, dacie wiarę? Lecz wtedy powiedziałbym dużo więcej bzdetów, byle tylko wyrwać się stamtąd.

Tak to już jest ze mną.

xxx

Niestety, jak już wiecie, nie wyrwałem się, a jednostka, do której trafiłem, to – uwaga, uwaga!: OTK, co się tłumaczy: Ochrona Terytorialna Kraju! W mieście Łódź. Przyznacie, piękna nazwa. Tylko że tyle miała wspólnego z ochroną, co ja z... carską Ochroną. Ochrona ta bowiem polegała jedynie i wyłącznie na wymienianiu podkładów kolejowych! I to były wówczas drugie klocki, w których okazałem się niezły: też się ostro przy nich pocilem.

Królestwo temu, kto mi powie, dlaczego nie mam dzisiaj ulgowych przejazdów koleją.

Tyle potu na darmo. Tyle potu!

xxx

Widać taki już nieszczęsny los wszystkich niedoszłych agentów.

Ping – pong, ping – pong, ping – pong!

I tak dalej, i tak dalej.

xxx

Z powodu tych przerwutek z miejsca na miejsce mojej arcyważnej osoby – z punktu widzenia, naturalnie, bezpieczeństwa państwa – przysięgę składałem z pewnym poślizgiem i dość zasadniczą zmianą, mianowicie – odwaliłem ją na dywaniku dowódcy pułku w towarzystwie, trzeba przyznać, wcale nie najgorszym: pułkownika, kapitana oraz porucznika. Nikogo więcej. Słowem – elita! Zabrakło

tylko jeszcze listu pochwalnego od I Sekretarza Komitetu Centralnego PZPR gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

No, ale w końcu nie od razu Kraków zbudowano. Rzymu zresztą również. Nie wspominając już o Łodzi. Nie można mieć wszystkiego naraz.

xxx

Nie tylko zresztą tego listu nie otrzymałem. Beata również nie kwapiła się zbytnio z ich pisaniem. Fakt, już przed wojskiem nie byliśmy razem. Ale w końcu kilka miesięcy spędzonych ze sobą też coś chyba znaczy, nie?

xxx

– Nie!

xxx

Naturalnie, można i tak.

xxx

Kiedyś opowiedziałem Annie o Beacie. Wiecie, co powiedziała?

– Dziwka. Bezduszna, wstrętne dziwka!

Oczywiście, wiedzieliście.

xxx

Tak mi się skojarzyło:

Nie uważacie, że kobiety są strasznie okrutne wobec siebie we wzajemnych opiniach?

Macie rację, ich sprawa. Ich sprawa.

xxx

Myślę, że tutaj powinienem zaoponować. Beata w żaden sposób nie była dziwką. Po prostu czasami tylko górę brała w niej łechtaczka nad mózgiem, ale dziwką na pewno nie była. Ja nigdy nie zadawałem się z takimi paniami. Nie wiem nawet, czy bym taką rozpoznał, a co dopiero... No wiecie... Nie, na pewno Beata nie była dziwką. Żaden z was mi tego nie wmówi. Słyszycie? Żaden!

xxx

Zresztą, wolę już dziwki niż wojsko. I niż policję. I bigotki. I szpitale. I trzęsienia ziemi. I potopy. I wojny. I... I tak dalej, i tak dalej. Wy nie?

xxx

Więc kiedy nie otrzymałem tego listu od niej, przebywając na urlopie postanowiłem ją odwiedzić. I tutaj czekała mnie pierwsza niespodzianka: była po ślubie! Coś chyba około tygodnia albo dwóch. Nie oprzytomniałem jeszcze dobrze, a tu dostałem w głowę po raz drugi: jej mężem został mój najlepszy wówczas przyjaciel! Przez chwilę miałem wrażenie, jakbym uczestniczył w jakimś nonsensownym balu niepoważnych zdarzeń. Nie był to jednak żaden bal – wszystko działało się na serio, a trzecia niespodzianka dopełniła tej farsy: była w ciąży – od trzech miesięcy! Wszystko więc było jasne i proste: dziecko w żadnym wypadku nie jest moje (od przeszło dwóch miesięcy zmagalem się na innym froncie), a ja jestem w tym domu, eufemistycznie rzecz ujmując, persona non grata. Powinnowałem więc im obojgu, życzyłem szczęścia i spłynąłem jak zmyty. Jej milczenie było usprawiedliwione!

xxx

Było? Naprawdę?

xxx

Pal licho! Nawet jeśli rzeczywiście mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

xxx

Dla kontrastu: Anna posiada pełną buzię srebra. Coś jakby „Skarb w Srebrnym Jeziorze”. Zobaczymy w praniu, jak to „bogactwo” się sprawdzi. Jednego w każdym razie już teraz jestem pewien: śmierć z nudów na pewno mi nie grozi. W ogóle w tym kraju zawsze tak wiele się dzieje, że dziwię

się, iż komukolwiek chce się umierać. Ja, przyznam, nie mam na to zupełnie czasu ani głowy. Ale to całkiem!

xxx

Taki przykład:

Niedawno nasz uroczy wicepremier powiedział – cytuję: „Nie jest ważne, czy w Polsce będzie kapitalizm, wolność słowa, czy będzie dobrobyt. Najważniejsze, żeby Polska była katolicka”. Prawda, że słodziutki? Kochany urwis. A jaki program! No nie widzę lepszego. Wszystkie bije na łeb na szyję. No po prostu raj!

xxx

Łup!, łup!, łup!

– Kto tam?

– Ou, nieładnie, już nie poznajesz? To ja, Święta Inkwizycja!

Bez komentarzy, bez komentarzy!

xxx

Przykład drugi – z tego samego podwórka:

Kolega partyjny wicepremiera stwierdził niedawno, że dzieci powinny być bite, ponieważ nie bite, nie mają należycie wykształconych uczuć i nie reagują prawidłowo, to znaczy tak, jak dzieci normalne, czyli lane. Czy można jeszcze coś do tego dodać? Toż to więcej niż słodycz, to sama miłość w najczystszej postaci!

Gdyby to ode mnie zależało, wicepremier dostałby nagrodę za poetyckość i celność sformułowań politycznych, a jego ugrupowanie za program wychowawczy i szczególnie pojęty patriotyzm. Nagrodę wręczyłyby oczywiście usta pierwsze, czyli Anna. Niestety, moja władza jest krótsza niż moje nogi. Ręce mam jeszcze krótsze, więc nagrody nie będzie żadnej. Chyba że jedynie pocieszenia:

– Chi, chi, chi, chi.

I tak dalej, i tak dalej.

xxx

To ugrupowanie obdarowałbym jeszcze jedną nagrodą, najlepiej medalem: „Za szczególne krzewienie miłości do bliźniego”.

Amen.

xxx

Annie pomysł uhonorowania wicepremiera i jego partii przypadł do gustu. Powiedziała, że należy mu się to jak nikomu innemu za to, co już nawywijał i co z pewnością jeszcze wywinie – łącznie z zakazem aborcji. Poza tym ma tak poczciwy i filuterny wygląd, że nie sposób go nie lubić. Zapytałem, co znaczy – „filuterny”, na co odparła:

– Komiczny oczywiście. Nie zauważyłeś tego niemal zawsze błakającego się na jego twarzy zgrywnego uśmiešku?

Ma rację. Zauważyłem.

xxx

Podobny uśmiešek zauważyłem już swego czasu również u jego wielkiego protoplasty: Józefa Cyrankiewicza. No, może tamten był bardziej cyniczny.

Anna ma swoje określenie takich rzeczy:

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Myszę, że coś w tym jest.

## V

Kiedy wróciłem do jednostki, trwał właśnie remont kompanii i szykował się niezły rejwach. Tory – to ja byłem jeszcze w stanie zrozumieć, ale prac budowlanych na kompanii za friko przełknąć już nie mogłem. Następnego więc dnia zameldowałem się w izbie chorych, gdzie zaliczyłem dziesięć dni, po czym, w krótkich odstępach, zażyczyłem sobie jeszcze podwójną repete, a na koniec wylądowałem w Wojskowej Akademii Medycznej. Od tej chwili jedną nogą grzebałem już w cywilu. Innymi słowy – po każdym obiadku mogłem sobie śmiało, bez żadnego skrupowania, krzyknąć: „Ile zostało?!”. Na co kadra oficerska, w tym miejscu oczywiście pozbawiona mundurków, powinna odkrzyknąć: „Mało!”. Ale że nie pytałem, więc i oni nie odpowiadali. Nie zmienia to jednak faktu, że byłem „dziadzio” – również dla niejednego z nich.

Co robić, taka karma.

xxx

Co zatem mogę powiedzieć poborowym w związku z tym?

– Niech żywi nie tracą nadziei!

Tyle.

xxx

W ogóle nadzieja, to ogromnie ważny i niezbędny wręcz stan odczuwania umysłu i ducha, i potrafi wiele zdziałać. Wyłączając, naturalnie, sytuacje beznadziejne. Tutaj nawet i modlitwa już nie wystarczy.

Jak to mówią: I modlitwa nie wystarczy, gdy się zbliża uwiąd starczy.

Co prawda, to prawda.

xxx

Myślę, że czterdzieści osiem lat temu taki właśnie stan nie był obcy wielu ludziom – a szczególnie tym w Hiroszynie czy Nagasaki. Dlatego wdzięczny jestem Opatrzności, że przyszło mi pojawić się na tym – ponoć – najlepszym ze światów trochę później – po tym holokaucie ludzkości i jego sumienia. Oczywiście, to mnie z niczego nie zwalnia: jestem tak samo odpowiedzialny za przyszłość świata, jak i moi antenaci za jego przeszłość. Razem biesiadujemy przy jednym stole.

Uwaga! Bigos, bigos dla państwa!

– I piwo, piwo jeszcze!

xxx

Refleksja – nie tylko do tego, co wyżej:

Gdy dzisiaj patrzę na to, co ta cholernie odważna i bitna część ludzkości nawyprawiała i wyprawia nadal – z nami, z ziemią i w ogóle ze światem, to myślę, że chyba najwyższy już czas na powrót do korzeni:

– Kobiety! – wakat: matriarchat czeka!

xxx

Pewnie że nie wiem, jak by to mogło wyglądać. Ale spróbować zawsze można – tym bardziej, że gorzej to już chyba być, ani nie mogło, ani nie może. Akcje rozsądku nigdy nie były tutaj wysoko notowane, więc i do stracenia jakby nie za wiele. Oczywiście, być może zwolnilibyśmy trochę tempo, nasz marsz byłby wolniejszy, ale czy naprawdę tak bardzo nam się spieszy? I gdzie? – jeżeli to nie jest, naturalnie, żadną tajemnicą.

Hm? Słucham?

xxx

Otóż to! Sami widzicie więc, że można by spróbować zacząć ten pochód jeszcze raz, od nowa. Może tym razem by



nam się udało dotrzeć do jakiegoś celu bez większych wstrząsów. Myślę, że gra warta świeczki. W końcu tych wyborów, tak na dobrą sprawę, nie mamy zbyt wiele. Albo kolejne wstrząsy i związana z tym niepewność – albo my; albo nowe – albo to, co już było. A było, sami wiecie najlepiej, marnie. Wiem, co mówię – trzy czwarte mojej rodziny, podczas ostatniego światowego pokazu fajerwerków i świec dymnych, powędrowało z nimi, bez okazywania jakiegokolwiek wejściówki, do kombinatu pod nazwą: Spalarnia Ludzkiego Mięsa. Chociaż nie – mieli wejściówkę: byli Żydami!

Gdyby ktoś nie wiedział: to ci, którzy przehandlowali życie innego Żyda – Jezusa, zwanego Chrystusem.

xxx

Niektóre grzechy nie są w ogóle do odpuszczenia:

1. Ani to, że Murzyn jest Murzynem;
2. Ani że Arab jest Arabem;
3. Ani że Azjata jest Azjata;
4. Ani że Indianin jest Indianinem;
5. Ani że Żyd jest Żydem.

I tak dalej, i tak dalej. Bo Bóg był, jest i pozostanie tylko jeden i jest kumplem białego człowieka. Najlepiej tego z Europy. Na wieki.

Amen.

xxx

Powiem więcej: niektóre nasze ugrupowania polityczne są z Nim w tak świetnej komitywie, że w niedługim czasie, gdzieś w okolicach zejścia się do kupy dwóch niedziel palmowych, można się spodziewać otwarcia pierwszego na ziemi raju. Według jeszcze cieplej wiadomości, a podanej za Związkiem Chodzących Na

Kolanach, jego nazwa brzmieć ma, skądinąd bardzo swojsko, mianowicie: „Polska”!

I co wy na to? Mają chłopaki chody, nie?

xxx

Wiecie, właściwie to mnie nie dziwi. Anna już wcześniej mówiła, że w najbliższych wyborach do parlamentu nie widzi lepszych kandydatów. I gotowa jest nawet dać konia z rzędem temu, kto takich dostrzega.

Myślę że, jak niemal zawsze, i tutaj również się nie myli.

Nie uważacie, że staje się to powoli cholernie monotonne?

xxx

Aha: Anna mówi jeszcze, że zawsze to lepiej przecież trzymać rękę na pulsie, niż grzebać nią później w jakimś nocniku – szczególnie po przebudzeniu się z jakiegoś odjazdowego snu. Bo po pierwsze – więcej z tego korzyści, po drugie zaś i, co najważniejsze, stale jest się w temacie. A trzeba przyznać, że wie, co mówi: jej matka jest lekarką – internistką. Ojciec zresztą również – tyle że ginekologiem.

Czy z takim pochodzeniem w ogóle można się mylić? Nawet jeżeli ten ginekolog grzebie w zupie, chociaż powinien grzebać... Sorry. Oczywiście że powinien grzebać kucharz. Choćby i taki mistrz patelni jak ja.

xxx

Zastanawiam się, czy tacy rodzice, to gotowa recepta na coś.

Na co?

I dlaczego?

I po co?

I tak dalej, i tak dalej.

xxx

Może gdybym ja miał takich rodziców, nie odczuwałbym aż tak silnej awersji do szkoły w latach szczenięcych?

Panie Freud, jak to z tym jest? Chyba nie sądzi Pan, że w tamtym czasie były mi tylko dupy w głowie, co?

xxx

– Libido jest libido!

Tyle.

xxx

I racja. Święta racja! Taki przykład:

Dwie babcie zawzięcie o czymś rozprawiają. W bardzo bliskim tle, dużymi literami krzyczący wręcz czerwienią napis: „Dziewczyny – nie odmawiajcie dupy, to nie pacierz!”.

Fakt.

Ech, panie Freud. Panie Freud!

xxx

Anna mówi, że to, co robimy razem, nie jest normalne. Mam nadzieję, że chociaż tutaj się myli. Czytałem kiedyś, że jeżeli dwoje ludzi się kocha, zaznaczam – dwoje! – to wszystkie chwytaki między nimi są dozwolone – nawet te poniżej pasa. Więc jeżeli to prawda, to z nami wszystko jest w jak najlepszym porządku, dzięki Bogu.

xxx

Oczywiście, nie zawsze tak się zachowuję z każdą kobietą. Na przykład z Beatą tak, a z siostrą Joanną już nie. Siostra Joanna to ta ze szpitala wojskowego. I to nawet nie dlatego, że była starsza ode mnie wówczas o prawie dziesięć lat, rzecz tkwiła w czym innym. Po pierwsze – nie było za specjalnie warunków na tego rodzaju działalność, a po drugie – przychodził po nią mąż. Wiecie, z gatunku takich, co to niechcący mogą zabić. A już na pewno porządnie okaleczyć.

Dlatego chyba zawsze w jej towarzystwie czułem się jakby nieco spięty, przez co nie pokazałem do końca na co mnie tak naprawdę stać w te klocki. Poza tym, to była dopiero moja druga partnerka, na dodatek, po dość znacznej przerwie. Miałem chyba prawo do taryfy ulgowej, nie?

xxx

Dwa tygodnie zleciały jak z bicza trzaśł i ponownie stanąłem na komisji, która miała ocenić moją kondycję zdrowotną i przydatność dla armii i narodu. Jej orzeczenie brzmiało niezmiernie melodyjnie – szczególnie dla moich uszu:

– „Cywil! Cywil!”

Powiem tak: jakbym narodził się po raz drugi.

– Ma – ma! Ma – ma! Ma – ma!

xxx

Ten mój fart niektórych aż skręcał. Taki major Skorupa na przykład, gdy zobaczył moją uradowaną facjatę, syknął tylko przez zęby wnerwiony, bo bezradny:

– Z czego tak się cieszysz, kocie?! I tak tutaj wrócisz.

Nic nie odpowiedziałem. Pamiętam, że pomyślałem jedynie, iż niektórym to wojsko życie uratowało. Szczęściarze, cholera!

xxx

Jednemu wojsko, drugiemu policja, jeszcze innemu Kościół – zawsze coś tam komuś je ratuje.

xxx

Jak się domyślacie nie wróciłem tam. Kto zresztą dobrowolnie wchodzi po raz drugi do klatki z lwem. Jedynie treser albo głupiec. Nie należałem do żadnej z tych grup, więc pozostałem na zewnątrz. Stąd znacznie lepiej obserwuje się nie tylko wojsko, ale wszystkie widowiska. I bezpieczniej. Poza tym uważam, że pięć miesięcy to aż

nadto, co mogłem od siebie ofiarować w tym nie zamawianym przeze mnie romansie z MON-em. Flirt wtedy bowiem przynosi najlepszy skutek, gdy wypływa z potrzeby serca. No, z innej potrzeby również. Byleby nie militarnej.

– Żołnierzu! Ręce przy sobie. Przy sobie ręce!

xxx

Ponadto kiedyś byłem jeszcze na przysiędze u kumpla. To chyba też się liczy, nie?

xxx

A propos rąk:

Wracając dzisiaj do domu z Muzeum Narodowego, gdzie wybrałem się, naturalnie, razem z Anną na wystawę obrazów malarstwa polskiego, zatrzymaliśmy się na przystanku. Na jednej z jego ścian – tej najdłuższej, po wewnętrznej stronie, widniał wykonany białym sprayem napis: „Oddam konia w szybkie ręce!”. Biorąc pod uwagę treść ogłoszenia, jak i wysokość jego umieszczenia, prawdopodobnie skreślone ono było ręką dżokeja. Anna powiedziała:

– Szkoda że był tak bardzo zaaferowany tym, co robi, bo nawet nie zostawił numeru swojego telefonu.

Zapytałem ją z niedowierzaniem, czy gdyby był, rzeczywiście by z niego skorzystała. Odparła:

– Oczywiście. Przecież wiesz, że konie to moja miłość. Niemalże od małości.

Zgadza się. Wiem.

xxx

W Muzeum Narodowym, gdzie było naprawdę wiele interesujących płócien, Anna zatrzymywała się najdłużej akurat przy tych, na których widniały konie, czyli wiadomo, przy Kossakach. Niemniej, pomimo tego jej, że się tak wyrażę, końskiego zboczenia, muszę oddać jej

sprawiedliwość: potrafi również dostrzec wszystko inne a dobre wokół. Posłuchajcie zresztą sami, co powiedziała o Matejce:

– Tym, czym Sienkiewicz jest dla naszej literatury, tym Matejko pozostaje dla malarstwa.

Przyznacie, że bez względu na akcje jednego czy drugiego celnie strzela, nie?

xxx

W ogóle Anna to świetna dziewczyna. Wysoka, zgrabna, dobrze zbudowana, ba – nawet inteligentna; poza tym nosi okulary – takie bardziej dla ozdoby twarzy niż na skorygowanie wzroku – i jest brunetką o niebieskich oczach. Pragnienie czegoś lepszego byłoby nie tylko nieprzyzwoitością i pychą, ale i grzechem. Mówię wam – taka potrafi każdemu zrobić w głowie fioła, bez dwóch zdań – nawet zatwardziałemu pederascie. Posiada tylko jeden dość poważny feler: za dużo mówi.

– Kooookokokokokoo! – kokoko! – koko!

xxx

Kurczę pieczone w pysk! Nie wydziwiał, nie można przecież mieć ideału!

xxx

Jeszcze trochę poczekam. Jeszcze poczekam.

xxx

Nie znaczy to oczywiście, że z Anną już koniec. Nic z tych rzeczy. Będziemy razem tak długo, jak długo się da. Już wam o tym mówiłem. Jednak nic ponadto. Inaczej oboje niepotrzebnie byśmy się tylko męczyli. Zresztą, jeszcze nie powiedziane, że nie rzucimy kotwicy i nie zostaniemy na zawsze razem. Ostatecznie niezbadane są wyroki boskie.

Ole!

## VI

Tak sobie pomyślałem, że winien wam jestem pewne małe wyjaśnienie. Mianowicie – dlaczego rozstałem się z Beatą. Otóż przyczyna była bardzo prosta, wręcz prozaiczna. Gdy okazało się, że nie jest w ciąży – jak uparcie przez jakiś czas twierdziła – nasze rozstanie było jedynie kwestią chwili.

Szydło zawsze wychodzi z worka wcześniej czy później. Nie ma obawy.

xxx

Do dzisiaj jednak nie wiem, czy rzeczywiście poroniła, czy też chciała mnie tylko naciąć.

xxx

Będę strzelał:

Chciała mnie naciąć!

xxx

– Pudło!!!

xxx

Cholera! Zresztą, to i tak niczego nie zmienia. Było – minęło. Ten rozdział jest już zamknięty. Definitywnie. Dzisiaj ważny jest nowy: Anna!

– Słucham?

Cisza.

– Krzysztof?

– Tak?

– Wydaje mi się, że coś mówiłeś. Chciałeś coś ode mnie?

– Ja...? Nie, zdawało ci się.

– Uhm.– I: – Co piszesz?

– List.

– List?

– Do kuzynki Anny. Jeszcze jej nie znasz.

- Ładna?
- Owszem.
- To daleka rodzina?
- O co ci chodzi?
- O nic. Po prostu pytam. Przez ciekawość.
- Nie. Bliska. Zadowolona?
- A...
- Nie. Dosyć!
- Chciałam tylko...
- Dosyć!, powiedziałem.

Ale natręciuch, co? Lubi mleć tym swoim fertycznym ozorkiem, który o niebo lepiej sprawdza się w innych rzeczach, niż w bezsensownym stawianiu pytań. To, co wyprawia w tych „innych rzeczach”, przechodzi po prostu ludzkie pojęcie; w stawianiu pytań – sami żeście widzieli. A nie należy to do rzadkości, niestety. Sam nie wiem, czy robi to z zazdrości, naumyślnie, czy jedynie, faktycznie, poprzez zwykłą babską wścibskość, jak mówi.

Z kobietami nigdy nic nie wiadomo, nigdy nie można z nimi dojść do ładu.

xxx

Chociaż, jak mawia stare przysłowie: „Kto pyta, nie błądzi”. Ponoć. Ja tam, pamiętam, nie pytałem przy pierwszym razie, a muszę stwierdzić – nie chwaląc się, naturalnie – że w ogóle ani trochę nie błądziłem. Trafiłem w cel niczym zawodowiec:

Trach! Trach! Trach!

Niezła seria, co? A jakie kule!

xxx

Po prostu czasami jest tak, że przedszkole okazuje się całkiem niepotrzebne. Ale to zupełnie! Poza tym, muszę dodać, że takie strzelanie wychodzi mi jedynie w cywilu. W



wojsku – prawdę mówiąc – nie wiem nawet jak wygląda tarcza – że nie wspomnę już o ładowaniu broni. Oczywiście, widziałem naboje. Ba, czyściłem nawet broń – dwa razy! Ale to wszystko na co było mnie stać w temacie: „Czterej pancerni i pies”. I „Stawka większa niż życie”. I „Rambo”. I co tam jeszcze podobnego na tej fali.

xxx

W ogóle, to niektórym zdarza się i tak, że tylko miotła strzela im w rękach w ciągu całej długiej ich służby. Nie mówię, że ze mnie był taki strzelec. Ukryć się jednak też nie da, że tej akurat broni, w której czułem się mocny, wykorzystać nie mogłem. Tej natomiast, jaką ofiarował mi MON, nie chciałem. Koniec końców pozostawała mi więc miotła. I wiadro. I ściera. I tak dalej, i tak dalej.

Śmieszne, nie?

xxx

Tak sobie myślę, że gdyby nie szpital i siostra Joanna, to w ogóle bym zapomniał, że istnieją jeszcze jakieś inne strzelnice, inne naboje, inne strzelanie. Co prawda, pacierza tak łatwo się nie zapomina, no, ale pod kopułą bardzo szybko można sobie tak namieszać, że potem cholernie trudno zrobić tam porządek – szczególnie w takim miejscu jak wojsko. Więc byłem niewypowiedzianie szczęśliwy i wdzięczny Bogu, że mi ją zesłał w odpowiednim miejscu i czasie. Inaczej mogło być bardzo nieciekawie. I wierzcie mi, wiem, co mówię. Szaleństwo bowiem nie przebiera – kosi jak leci!

Szszu! Szszu! Szszu!...

xxx

– Aaaa!... Ratunku!... Pomocy!...

xxx

Milczeć, barany! Teraz ja rządę – to mój czas. Jak zawsze zresztą.

Szszu! Szszu! Szszu!...

xxx

Jakby nie patrzeć udało mi się i moje „pożegnanie z bronią”, które wypadło siódmego marca – tuż przed dniem kobiet. Myślę, że lepszego prezentu nie mogłem sobie życzyć. Ani im. Myślę tutaj o tych wszystkich kobietach, z którymi miałem mieć jeszcze małe co nieco w przyszłości. I nie zrozumcie mnie źle – żaden ze mnie Cassanova, rzecz w tym, że, oprócz ogromnej nadziei drzemiącej we mnie, jestem jeszcze niepoprawnym optymistą.

– Ty, ty, i ty. I jeszcze ty! Dzisiaj o dziewiątej wieczorem u mnie. Pokój 714. Hotel...

No! Tylko bez rozgłosu, bez rozgłosu, proszę. Okej? W końcu nie bez przyczyny mówią na mnie: „Cicha woda brzegi rwie”.

xxx

Zaskoczyłem was, co? Fakt, trochę przesadziłem. Ale tylko trochę – o tę ostatnią. No dobrze, dobrze już, niech wam będzie – o te trzy pierwsze. No nie, tę jedną to mi zostawcie – sam ją obsłużę. Już wy się nie martwcie – dam sobie radę!

A co, nie mówiłem, że tęgi ze mnie optymista?

xxx

Zresztą, co tam ja, nasi politycy – to dopiero optymiści. Góry potrafią przenosić. I to te ze złota! Tak przynajmniej obiecują. A obiecują, uczciwie trzeba przyznać, wcale niemało. I już choćby za to powinniśmy ich kochać. I cenić. I szanować. I pieścić. I co tam jeszcze w tym stylu. Bo to nie tylko kwiat narodu, ale w ogóle rzadki skarb. Anna mówi, że gdyby to od niej zależało, to ona taki skarb by ukryła. Gdzieś głęboko. Albo wysoko. Jak chociażby „Działa Nawarony”.

– Gotowe!

– Ognia!!!

xxx

I jak wam się podoba pomysł Anny? Naturalnie, ja też uważam go za zbyt radykalny. W końcu chłopaki starają się jak mogą. Ci, którzy nadejdą wkrótce po tych dotychczasowych, również będą się starać. Tak to już z nimi jest – sami altruści! A żeby tak było wystarczy ich tylko wybrać – tych właściwych naturalnie, to wszystko. Potem możemy się już o nic nie martwić i spać spokojnie. Wiadomo: jedni mają chody „na górze”, inni – „na dole”, a jeszcze inni – „na marginesie”, cokolwiek to znaczy. Więc razem taka koalicja, krótko mówiąc, może niemal wszystko. Mówię – „niemal”, bo czego ona nie zrobi, zrobi to On – ten odwieczny opiekun i kumpel wielu z nich: Bóg! Choć z pewnością nie będzie musiał – sami sobie świetnie poradzą. To zaradni chłopcy. Wystarczy ich tylko wybrać. Tylko wybrać!

xxx

A zatem karuzelo – ruszaj!

xxx

Uwaga, uwaga! Panie i panowie! Dzisiaj święto – dzisiaj odpust w Lubartowie!

Graj! Graj, Cyganie, graj! Hop!, hop!, hop!...

xxx

Zauważyliście? Odpusty są bardzo podobne do wyborów parlamentarnych. Zarówno jedno jak i drugie ma posmak igrzysk – tanich igrzysk dla plebsu. Prawdopodobnie po to, żeby plebs czuł się dowartościowany, potrzebny, istotny. Żeby miał wrażenie swojego uczestnictwa w sprawowaniu władzy. Więc, póki co, bawmy się.

– Jeszcze raz, Cyganie, graj! Hop!, hop!, hop!...

xxx

To podobieństwo wygląda mniej więcej tak:

Odpust: Ob-warzanki! świeżutkie, smacznutki. Ob-warzanki! Komu, komu, bo idę do domu?

Polityka: Złodzieje! Aferzyści!

Odpust: Koguciki na druciki! Balony na talony!

Polityka: Karierowicze!

Odpust: Raz się żyje, dwa umiera – nie żałować dziś pasera, bo cię paser sponiewiera!

Polityka: Kolaboranci! Agenci!

Odpust: Ludzie! Ludzie, zgłupiałem! Wszystkie pieniądze oddałem!

Polityka: Żydokomuna!

Odpust: Grać! Obstawiać! Nie żałować! Niefart musi pofolgować!

Zgodny chórek, nie?

xxx

Pytanie:

Znacie inne chórki?

Zresztą nieważne – wycofuję pytanie, to do niczego nie prowadzi. Do niczego dobrego, oczywiście. A teraz właśnie, kiedy jest tak ciężko, kiedy odzyskaliśmy nareszcie całkowitą suwerenność, powinniśmy patrzeć na bliźniego i przyszłość bardziej optymistycznie. Potrzeba nam tego, jak rybie wody. Kąśliwymi, jadowitymi uwagami daleko się przecież nie zajędzie. Więcej wyrozumiałości i cierpliwości jest nam wprost niezbędne! Wtedy na pewno nam się uda. Nie takich czynów dokonywaliśmy przecież w przeszłości. Poza tym z takimi politykami i ich koneksjami, nad wyraz operatywnymi biznesmenami, nie może się nie powieść. Jestem pewien, że to będzie – drugi cud nad Wisłą! Cały świat zdębieje! Ja, przyznaję, już to zrobiłem. Dzisiaj. Gdy

spotkałem jednego ze znajomych z dawnych lat szkolnych. Dlaczego? Sami zobaczcie.

– Ale o jednym jeszcze nie wiesz – powiedział Jerzy. Tak właśnie ma mój znajomy na imię.

– Żenisz się.

– Lepiej. Kandyduję w najbliższych wyborach do Sejmu!

Zatkało mnie.

– Zaskoczony, co?

– Owszem. To robi wrażenie – przyznałem, próbując jednocześnie ukryć zmieszanie. Może to dziwne, ale czułem się tak, jakby to mnie było wstyd przed tymi wszystkimi ludźmi, którzy na niego postawili, za to, że on kandyduje.

– Wiedziałem, że cię zaskoczę. Każdy z naszych znajomych, jak się o tym dowiedział, reagował podobnie.

– Nie dziwię się. To więcej niż duża niespodzianka.

– O tak. Z pewnością.

– Z jakiego ugrupowania startujesz?

– Prawdę mówiąc jeszcze się waham. Mam kilka ciekawych ofert. Na pewno wybiorę najlepszą.

– Nie wątpię – powiedziałem, a pomyślałem: „Zawsze potrafiłeś odpowiednio wybrać, tak, żeby się świetnie ustawić. Co najmniej, jakbyś miał ojca fotografa”.

Wymieniliśmy jeszcze kilka luźnych uwag i obiecując mu swoje poparcie, rozstaliśmy się. Mam nadzieję, że na następne długie lata. Oczywiście, nie myślcie tylko, że jestem w stosunku do niego jakoś specjalnie uprzedzony – sam w końcu też nie byłem aniołkiem. Niemniej on, to jednak co innego. On ma zamiar zostać posłem! Politykiem, który będzie miał realny wpływ na losy tego kraju, będzie decydował o jego przyszłości – mojej przyszłości! Choćby z tego powodu mam prawo mu nie ufać. I nie ufam.

Powtarzam: „Nie ufam!”. I wiercie mi – wiem, co mówię. Wspomnicie moje słowa. Oczywiście, mógł się zmienić. I daj Boże, żeby tak było. Ja jednak w to nie wierzę – na zbyt wiele mnie naciął, żebym do dzisiaj mógł zachować naiwność. Ale wy, naturalnie, jesteście wolni, więc róbcie sobie jak chcecie. Wasza sprawa. Jak to mówią: „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz”. Tyle.

xxx

Pogadamy za jakiś czas, jak będziecie szukać innego posłania. Na dzisiaj brak jest płaszczyzny porozumienia: wy grzejecie kości w wygodnych łózkach, ja sypiam na rozłożonej na podłodze karimacie, mając za jedyne okrycie śpiwór.

– Gan-dhi! Gan-dhi! Gan-dhi!

xxx

Muszę wam się tutaj przyznać, że takie spanie to dla mnie nic nowego. Jeszcze podczas egzaminów maturalnych zapoznałem się z dechami na komendzie, wówczas jeszcze milicji obywatelskiej, gdzie przetrzymywano mnie przez trzydzieści sześć godzin. Nie mówię, że od tamtego czasu przywykłem do takiego wygodnictwa. Po prostu chcę, żebyście wiedzieli, że nie zawsze było tak różowo, że leżałem sobie beztrudnie wyciągnięty obok jakiejś piękności i wybranki mojego, coraz bardziej zartymizowanego serca. W życiu bywa różnie: raz na wozie, raz pod wozem. Poza tym jedni też zostają końmi. A jeszcze inni osłami. I to na całe życie. I tutaj, niestety, nic nie da się zrobić. A więc:

– Wijoo! Wio!

Patataj – patataj – patataj!...

xxx

Kiedyś przy okazji powiem, jak do tego doszło – mam tu na myśli komendę milicji, maturę i w ogóle całą

resztę. Ale to kiedyś. Teraz... teraz jeszcze wiadomość z ostatniej chwili:

Anna wprowadziła się do hotelu.

Ma charakter dziewczyna – nie rzuca słów na wiatr.

## VII

Po zasłużonym wypoczynku po koszmarze życia wojskowego, powróciłem, naturalnie, do pracy – spokojnej, monotonnej pracy laboranta w laboratorium drogowym, od czasu do czasu jedynie wstrząsanej zmianami klimakterycznymi którejś z pań kierowniczek. Ale dziewczyny dobrze trafiły, bo jestem z natury wyrozumiały, więc obeszło się bez większych spięć. Dopiero później ataki te stały się na tyle uciążliwe, że w końcu pewnego dnia nie wytrzymałem, pieprznałem całą tę robotę i odszedłem. Zanim to jednak nastąpiło, upłynęło sporo wody w rzece, a i ja niejedno w tym czasie jeszcze przeżyłem. Co tu dużo gadać: z niejednego pieca chleb się jadło.

xxx

Wraz z upływem czasu coraz częściej się zastanawiam, czy przy moich zdolnościach nie powinienem skończyć jakiejś szkoły gastronomicznej. Kto wie, jakie wówczas pichciłbym dania innym.

xxx

Pierwszy chlebuś, którym się poczęstowałem po opuszczeniu MON- u, miała na imię Inga. Była pokojówką w hotelu, a cała rzecz rozgrywała się we Frankfurcie. Niestety, tym nad Odrą. Chociaż ja, w odróżnieniu od innych, owo rozczarowanie jakoś sobie zrekompensowałem. Czy było smacznie? Przyznam – jadałem lepiej. Musiało być jednak w niej coś, bo później zacząłem się nawet uczyć niemieckiego. Niestety, niezbyt wytrwale. O klasę lepiej szło mi z angielskim, czy choćby rosyjskim. Chociaż nie wiem dlaczego. Też przecież miałem mocne powody do uprzedzeń. Koniec końców stanęło na tym, że jedynie co nieco liznałem



tematu niemieckiego, nie opanowując nawet podstawowych rzeczy.

Ach te nasze narodowe fobie! Dobrze, że chociaż z Francuzami nie mamy na pieńku. Bo po francusku, muszę przyznać, idzie mi jak z płatka. I nawet się nie brzydzę!

xxx

Nigdy nie myślałem, że Historia może mieć tak ogromny wpływ na życie seksualne człowieka – a już najmniej na moje.

Muszę chyba pomyśleć o psychoanalityku. Nie chciałbym, żeby w przyszłości przytrafiła mi się podobna historia. Lepiej już wcześniej dmuchać na zimne, gdy chce się potem kuć gorące żelazo.

xxx

Jak do tego doszło – z Ingą?

Było tuż przed południem. Właśnie kończyłem brać natrysk, gdy do pokoju weszła ona chcąc posprzątać. Traf chciał, że i ja w tym momencie wyszedłem z łazienki – na dodatek w stroju noworodka. Gdy mnie zobaczyła, powiedziała szybko, ale bez zażenowania: „Entschuldigen Sie bitte!”, na co ja odparłem, naturalnie po polsku, że nie szkodzi i coś tam jeszcze głupiego, czego nie pamiętam, i z ręcznikiem, który starałem się umocować na brzuchu lekko drżącymi rękami, podszedłem do niej.

Muszę mówić dalej? Oczywiście – zrobiłem jej odpowiedni natrysk pod odpowiednim ciśnieniem. To wszystko. Nie, nie rozmawialiśmy ze sobą. Zresztą, nie miała ciekawego głosu, a ja też niewiele bym zrozumiał z jej szwargotu. Dowiedziałem się jedynie, że ma na imię Inga i to mi w zupełności wystarczyło. Jej zresztą chyba również. Ważne, że zrobiliśmy mały kroczek do pojednania między oboma krajami, a jeszcze większy w zwalczaniu wszelkich

fobii i uprzedzeń w nas samych. Dokładnie ja zacząłem od tego kroku. Niemieckiego! Że to nie najlepszy krok? Że na lepszy mnie stać? Być może. Nie mówię, że mam receptę na wszystko. Poza tym w końcu od czegoś trzeba zacząć to pojednanie, nieprawdaż?

xxx

Gdy powiedziałem o tym Annie – bo my, trzeba wam wiedzieć – jesteśmy nowoczesną parą: mówimy sobie dosłownie wszystko, jak na spowiedzi, bez ogródek i niepotrzebnego owijania w bawełnę – skomentowała to następująco:

– Nie rozumiem, na co ty liczyłeś? Przecież okupacja skończyła się przeszło czterdzieści lat temu!

Nie mówię, że miała rację, ale coś w tym było na rzeczy.

xxx

Jedno tutaj jednak nie ulega wątpliwości: podróże kształcą. I to bez względu na trasę naszej wędrówki.

Oh, yeah!

xxx

Nie mówię, oczywiście, żeby podróżować stale – nie w tym rzecz. W miejscu zamieszkania też się można niejednego nauczyć. Na przykład Annę, jak wicie, poznałem tutaj – na miejscu, a czuję się przy niej, jakbym był w ciągłej podróży – taka jest odjazdowa! Posłuchajcie zresztą sami.

To było wczoraj, pierwszy dzień w jej nowym hotelowym mieszkaniu. Mówię – „mieszkaniu”, nie „w domu”, dlatego, że w tym ostatnim się żyje, podczas gdy w tym pierwszym tylko mieszka. A to, przyznacie, zasadnicza różnica. No, ale do tematu!

– Nareszcie sami – powiedziała Anna, i kładąc się na łóżku, położyła głowę na moich udach. – Sami!, sami!, sami!

– Nie tak znowu bardzo. Są jeszcze karaluchy.

– Och!, nie myśl teraz o nich. Odpreż się.

– Kiedy nie mogę! Wszelkie robactwo napawa mnie obrzydzeniem i przerażeniem.

Myślicie że histeryzuję? Jeżeli nawet, to na pewno nie bezpodstawnie – coś w tym musi być. Wiadomo, jak umarłem w poprzednim wcieleniu? No? Otóż to! Mam powody do obaw? Właśnie. Ale oddaję głos Annie:

– Chyba nie powiesz, że boisz się takich małych, biednych robaczków?

– Możesz się śmiać, proszę bardzo. Ja jednak mieszkać tutaj nie będę.

– Przestań się wygłupiać. One są całkowicie nieszkodliwe. Tyle tylko, że niezbyt przyjemnie wyglądają.

– Mnie wystarczy.

– Wiesz, nie rozumiem cię. Skąd się to u ciebie bierze? Zachowujesz się gorzej niż baba – ta chociaż piszczy przerażona jak zobaczy mysz, ale robaki?...

– Jeden nie cierpi zupy mlecznej, inny seksu, ja nie znoszę robaków. Mogę chyba, co?

– Oczywiście, kochanie. Oczywiście. Ważne, że lubisz te dwie pierwsze. Jutro postaram się kupić coś na to paskudztwo. A teraz uspokój się i daj mi tego swojego robaczka – na niego już teraz ma sposób twoja rybcia.

– Bierze... bierze... ciągnij! O, taaak...

Ma się tę przynętę, co?

xxx

Okej, powiem wam prawdę. Anna ujmuje to w ten sposób:

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Tyle.

xxx

Wiem, że takie gadanie każdego może dobić, ale ja się nie przejmuję. Beata, na przykład, nigdy mi tak nie powiedziała. Tym bardziej, że była moją pierwszą dziewczyną, więc mogła co nieco szepnąć na ten temat. Nie zrobiła jednak tego, czyli że Anna kłamie! No, powiedzmy, nie mówi do końca całej prawdy. Mnie to jednak wystarczy. Nie myślcie tylko, że jestem jak ten tonący, co to nawet brzytwy się chwyta – nie w tym rzecz. Po prostu wierzę w siebie, to wszystko. Chociaż... Zresztą, nieważne.

No, to za optymizm. Lu!

xxx

Muszę wam się przyznać, że z tym optymizmem to bywa różnie. Był raz taki moment, kiedy w ogóle go we mnie nie było. Ani na jotę. Wyparował calusieńki! Czułem się wtedy więcej niż parszywie. Mówię o tej trzydziestosześciodzinnej imprezie, jaką zafundowali mi nasi dzielni obrońcy porządku, spokoju i bezpieczeństwa; imprezie o suchym chlebie, jakiejś lurze, zwanej tam kawą, i kawałku ohydnej margaryny, do rozsmarowania której służyła aluminiowa łyżka stołowa. To właśnie wówczas po raz pierwszy zapoznałem się z głodówką. Teraz to doświadczenie mam jak znalazł. Nawet trzeci akt militarnej sztuki światowej mnie nie rusza – tak dobrze jestem przygotowany!

Cóż, wszystkiego należy w życiu spróbować – jak mawiał mój świętej pamięci dziadek, będący, chcąc nie chcąc, kucharzem wojskowym.

xxx

Wracając do tematu:

Tak sobie dzisiaj myślę, że moje pierwsze spotkanie z psychoanalitykiem tam właśnie miało swoje miejsce. Na komendzie. Pewnie ten gość nie miał takiego wykształcenia, był z gatunku tych domorosłych psychoanalityków, ale też zadawał, podobnie jak oni, masę pytań. Ja jednak byłem wtedy w niezłej formie, więc odpowiadałem raz za razem. On pytanie – ja odpowiedź, on pytanie – ja odpowiedź, on pytanie – ja odpowiedź, i tak dalej, i tak dalej. Szkoda, że nie widzieliście mnie wtedy w akcji. Byłem niczym Gary Cooper „W samo południe” – nie do zdarcia!

xxx

Aha, nie wspomniałem jeszcze o trzech rzeczach, które wyniosłem z tamtego zdarzenia, mianowicie – wstrząs mózgu i wgniecenie górnej części czaszki, prawdopodobnie początki choroby wrzodowej i ciało w sino-fioletowe paski po bezpłatnym treningu pałką pewnego plutonowego naszej wybitnie dzielnej milicji. Do dzisiaj zachowały się jedynie dwa pierwsze oznaczenia, trzecie – zdezaktualizowało się. Z czasem.

Cóż, różne są zainteresowania: jedni zbierają znaczki, drudzy numizmaty, a jeszcze inni, na wieczną pamiątkę, urazy. I razy.

Bywa.

xxx

Gwoli wyjaśnienia: To właśnie przez owrzodzenie wystrzeliłem się wcześniej z wojska. Słowem – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Prawda, panowie dowódcy?

xxx

A propos wojska:

Obejrzałem niedawno, razem z Anną zresztą, film, traktujący niby o wojsku, pod tytułem „Kroll”. Mówię –

„niby”, bo w rzeczywistości miał on tyle wspólnego z wojskiem, co ja, już nawet nie tyle z samym księdzem, co konfesjonałem. I wcale nie chodzi tutaj o mój dotkliwy gościec stawowy – szczególnie odczuwany w kolanach. Rzecz w tym, że mój pobyt tam, niezbyt zresztą długi, bo trwający niewiele więcej niż podwójne wakacje dla dzieci, daje mi inną wiedzę i inne wyobrażenie o tej instytucji. Nawet jeżeli ktoś tylko strzelał z miotły – na przykład tak jak ja.

– Tatatatatatata! – tatatata! Zabity!, zabity!

xxx

Anna skwitowała ten film krótko, z właściwą sobie elokwencją:

– Zawsze wiedziałam, że mężczyźni są strasznie żałośni, ale nigdy, że aż tak.

Odparłem jej:

– Pozwól sobie zwrócić uwagę, kochanie. To jeszcze nie mężczyźni, a bardzo młodzi chłopcy – to po pierwsze, po drugie natomiast – gdyby istniały u nas formacje wojskowe dla kobiet, byłybyście takie same. A już z całą pewnością bardzo podobne.

I wiecie, co odpowiedziała? Nie uwierzycie.

– Oczywiście – odparła. – Gdybyśmy myślały jajami.

Tylko tyle.

I jak wam się podoba? Milutkie, nie?

xxx

Zresztą, kto wie, może ma rację. Miałaby ją na pewno, gdybym był kobietą. Gdybym... Cholera, w najbliższym czasie muszę się zbadać. Może tkwi we mnie jakiś utajony hermafrodytyzm? Albo transwestytyzm? Albo biseksualizm?

I tak dalej, i tak dalej.

xxx

Chyba jednak tak nie jest skoro Anna ciągle nalega, żebym się do niej wprowadził. Nieważne. I tak tego nie zrobię – za bardzo zalaźła mi za pazury. Jak zadra. Milczę więc i gram na zwłokę. Niech zobaczy, że ja też potrafię się odciąć, a co!

xxx

– Uwaga! Człowiek za burtą!

xxx

Okej, okej! Sam sobie poradzę.

Mówię: – Poradzę sobie!

## VIII

Jak już wcześniej wam powiedziałem, Anna, oprócz wielu niewątpliwych zalet, ma jedną paskudną wadę – za dużo mówi. Niestety, na dodatek nierzadko są to dosyć niepopularne rzeczy, czym, oczywiście, zraża do siebie innych, a co przy okazji również i mnie nie pozostawia obojętnym. Ostatni taki incydent miał miejsce przedwczoraj. Na imieninach jednego z moich starych znajomych. I akurat tak się złożyło, iż był to jeden z tych spidłejowych nowobogackich, którymi ostatnio strasznie obrodziło. Jak grzybami po deszczu. Prawdziwe zatrzęsienie!

Więc jesteśmy tam – u jednego z tych błyskawicznych nuworyszów, zabawa powoli się rozkręca, goście żywo rozprawiają oczywiście na temat dyżurny, czyli o biznesie, gdy w pewnym momencie do rozmowy, którą toczyłem właśnie z solenizantem, włącza się Anna.

– Ładny dom sobie sprawiłeś, Marek.

– Owszem. Znośny.

– Pewnie musiał cię kosztować całą masę forsy.

– Stać mnie.

– Oczywiście. Oczywiście.

Po twarzy i głosie Anny zauważyłem, że jeszcze chwila, jeszcze jedno słowo Marka i coś się stanie, coś nieprzyjemnego.

– Anno, kochanie – wtrąciłem, próbując zapobiec temu, co nieuchronnie się zbliżało – mogłabyś zostawić nas jeszcze na minutę samych? Mamy do obgadania kilka męskich spraw.

– Naturalnie, kochanie. Tylko pozwól, że teraz my dokończymy. Marek tak zajmująco mówi. Posłuchaj zresztą i ty, może się czegoś nauczysz. Pieniądze w końcu leżą na



ulicy, trzeba tylko wiedzieć, którą ręką je podnieść. Prawda, Marek?

– Święte słowa, Anno. Święte słowa.

– Widzisz?

W tej chwili było już dla mnie jasne, że przyjęcie dla nas się skończyło. Jako że nie mogłem nic zrobić, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko czekać na jego finał.

– Powiedz więc, jak to zrobiłeś z tą swoją pierwszą firmą? Żeby nie spłacać długów przepisałeś jej majątek na rodzinę, zanim...

– To przestaje już być zabawne, Anno...

– A było kiedyś? W końcu to między innymi z moich pieniędzy tak się wystawnie urządziłeś. Więc chciałabym chociaż wiedzieć, jak to zrobiłeś. Czy coś w tym złego?

Przyznaję, że z jakąś dziwną, utajoną satysfakcją obserwowałem narastającą w Marku wściekłość.

– Stanowczo za dużo wypijaś – wysyczał przez zęby.

– Odpowiedz mi. To może być bardzo interesujące i pouczające. Być może skorzystalibyśmy nawet z twoich cennych wskazówek. Prawda, Krzysztof?

– Anno – zacząłem niezbyt pewnie, gdy Marek przerwał mi, oględnie mówiąc, obcesowo:

– Kogo ty mi tutaj, stary, przyprowadzasz?! Zastanowiłeś się choć trochę?

– Nie rozumiem...

– Za to ja rozumiem. Koleś się przestraszył i próbuje mnie teraz obrażać. Ale żeby mnie obrazić, trzeba być kimś. Kimś!, Marku. – Mimo że wszystko powiedziała lekko i bez, jakby się mogło wydawać, emocji, przedostatnie słowo zaakcentowała szczególnie mocno i stanowczo. – Wychodzę, Krzysztof. Myślę, że pomyliliśmy adresy. To na pewno nie to przyjęcie.

Oczy wszystkich skierowane były w tym momencie na dumnie zmierzającą w kierunku drzwi Annę. Oprócz delikatnie sączącej się z głośników muzyki Andreasa Vollenweidera, odnosiło się wrażenie, że można było usłyszeć oddechy znajdujących się w pomieszczeniu gości. W chwili gdy Anna dotarła do drzwi, otworzyła je, klasnęła w dłoń i rzuciła do wszystkich:

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedziała, następnie klasnęła w dłoń i dodała: – Muzyka! – I wyszła.

Wewnątrz przez jakiś czas panowała konsternacja, co wykorzystałem i bąknąwszy coś pod nosem w stronę Marka, pognałem w te pędy za Anną.

Różne są formy kamikadze i utraty znajomości. To właśnie jedna z nich – gdyby ktoś nie wiedział.

xxx

Powiem wam, że czułem się pod psem. Nie dlatego nawet, że straciłem kumpla, lecz dlatego, że nie stanąłem w obronie Anny jak przystało prawdziwemu mężczyźnie, gdy on ją znieważył. Fakt, poradziła sobie doskonale i bez mojej pomocy. Jednak niesmak pozostaje niesmakiem. Tym większym, gdy w drodze do domu słyszy się tylko jedno jedyne słowo, które niemiłosiernie chłoszcze i rani:

– Tchórz! Tchórz! Tchórz!

Jak zwykle – znowu miała rację.

xxx

Zresztą, miała ją w jeszcze jednej bardzo istotnej sprawie. Mianowicie, gdy wracaliśmy z tego, co tu ukrywać, nieudanego przyjęcia, byłem na tyle nieostrożny, albo może raczej po prostu głupi, że zacząłem jakby trochę bronić Marka. Słowem – zamiast gasić ogień, z premedytacją samobójcy dolałem do niego oliwy.

– Prawdę powiedziawszy, to nie tylko jego wina, banki tutaj również się nie popisały i ich prezesi.

Zanim dokończyłem zdanie, Anna zmierzyła mnie takim wzrokiem, że odechciało mi się nie tylko cokolwiek mówić, ale w ogóle żyć. Co najmniej, jakbym napotkał wzrok bazyliuszka.

– I zgadza się – odrzekła. – Banki nie są tutaj bez winy. Tyle że mnie bardziej chodzi o moralną stronę tego zjawiska. Czy ciebie naprawdę nie irytuje, że taki Marek na przykład, naciągnął państwo, a więc między innymi i ciebie, na poważne straty, a teraz korzysta z tego i śmieje się w kułak, a my – ty, ja i inni uczciwi frajerzy nie możemy mu nic zrobić, bo nasze prawo okazuje się rajem dla cwaniaczków? Uważasz, że to w porządku? No, słucham?

Oczywiście, milczałem. Teraz ja byłem gotów dać konia z rzędem temu, który na to sensownie odpowie.

xxx

Do dzisiaj zastanawiałem się, co mnie właściwie tak bardzo pociąga i przyciąga do niej. Teraz wiem, że to jest to wszystko, czego brak mnie.

– Czego?

Bez żartów! Widzieliście kiedykolwiek Achilleasa obnoszącego się ze swoją piętą?

xxx

Jedno, co mogłem w tej sytuacji zrobić dla przywrócenia moich notowań u niej, to zagrać w moje klocki.

Zagrałem. Jeszcze tego samego wieczoru. Nim zaświtało nasze stosunki powróciły do normy. Bez względu na wszystko inne, co to znaczy, było okej.

– Le – go! Le – go! Le – go!

xxx

Poza tym, żeby to jakoś umocnić, złożyłem jej obietnicę, że się do niej wprowadzę.

– Nie musisz tego robić teraz – powiedziała.

– Chcę to zrobić – odparłem.

– Będzie to wyglądało, jakbyś chciał się przymilić, przekupić mnie.

– Wszystko można uznać za co najmniej ambiwalentne. Zależy od punktu widzenia i okoliczności.

I co wy na to? Piękny, klasyczny przykład dobrowolnego wciskania się w paszczę lwa, nie uważacie? Ale to jeszcze nie koniec na tym – koncert był dłuższy. Posłuchajcie tylko.

– A robaki, to znaczy karaluchy? – To Anna.

– Zrobimy z nich skwarki. – To ja.

– Świetnie. Specjalność hotelu: smalec ze skwarkami!

– Każdego hotelu – dodałem.

– Zgadza się – każdego. Wypijmy zatem za zdrowie hoteli!

– I robaków. To znaczy skwarków.

– I za smalec. Za smalec ze skwarkami – specjalność każdego hotelu!

Zawsze znajdzie się okazja, by dać sobie w szyję.

– Cheers!

xxx

Wiadomość z ostatniej chwili:

Mieszkam z Anną.

Jak to mówią: ryzyk – fizyk.

xxx

Przy okazji:

Minęła właśnie połowa czerwca, więc jestem z Anną już sześć i pół miesiąca. Rekord. Absolutny! Jak na mnie.

Bójdzie się wszystkie pary świata: to jeszcze nie koniec.  
Platynowe gody przed nami!

xxx

Mamuśka raczej spokojnie to przyjęła. Co prawda, specjalnie nie przygotowywałem ją do tego – siebie zresztą również nie – to jednak swoją intuicją wyczuła pismo nosem. Powiedziała tylko:

– Nie myśl sobie, że nie widziałam, co się święci. Tak ślepa, to ja już nie jestem. – Po czym dodała jeszcze: – Gdyby coś... Sam zresztą wiesz najlepiej, gdzie mieszkam i gdzie jest twój dom.

– Pewnie – odparłem.

– Trzymaj się, chłopcze.

– Ty też się nie daj, mamó. Wszystko będzie dobrze.

I dacie wiarę? W tym momencie się rozkleiła. Tak dobrze się trzymała przez cały czas, aż tu nagle rach-ciach i płacze. Mnie, naturalnie, też się łza w oku zakręciła. Bądź co bądź mężczyzna opuszcza dom rodzinny, to coś znaczy, nie? Nie co dzień zdarza się takie święto. Jednak trzymałem się dzielnie i nie zapłakałem, pokazując tym sposobem wszystkim niedowiarkom, że jestem już dojrzałym mężczyzną i śmiało mogę rozpocząć życie na własną rękę. A właściwie – na kocią łapę. Z Anną.

„Były sobie kotki dwa, kotki dwa, kotki dwa, szarobure obydwaj, obydwaj, bęc!”

xxx

To, że mieszkamy teraz razem, ma swoje plusy i minusy oczywiście. Plusem jest to, że Anna pracuje, a ja, będąc na zasiłku dla bezrobotnych, mogę wam co nieco w spokoju opowiedzieć. Minusem zaś to, że, wiecie, ale w „tej” materii muszę szczególnie uważać. Nie, oczywiście że

kocham dzieci – nawet bardzo – rzecz w tym, że nie myślę, żebym był do tego odpowiednio przygotowany. W porządku wyprowadzka – jeden cios, ale dwa – to nie fair. W żaden sposób. To zresztą byłby cios z gatunku tych poniżej pasa.

– Faul! Faul, panie sędzio! Faul!

xxx

Poza tym tutaj chciałbym sam decydować, kiedy, jak i ile – że nie wspomnę już z kim. Na razie robią to przeważnie ci, którzy albo mieć dzieci już nie mogą, albo którzy ich mieć nie chcą. Ja, na szczęście, jeszcze mogę i, dzięki Opatrzności, jeszcze mogę chcieć. Gdy spełnię powyższe warunki rzeczonyj grupy, wówczas, oczywiście, będę mógł się przyłączyć do chóru piewców obrony tak zwanych „chrześcijańskich wartości”. Na dzisiaj pozostaję jednak w głębokiej opozycji.

Po trzykroć: Liberum veto!

xxx

- Ignorant
- Bezbożnik!
- Antychryst!
- Zboczeniec!

xxx

Oczywiście – uderz w stół, a nożyce się odezwą. Nic nowego. Można się było tego spodziewać.

xxx

Jak już jestem przy temacie: Nie wiem jak wy, ale co do mnie, to muszę przyznać, że czarno widzę przyszłość religii. Nawiasem mówiąc nie tylko naszej. Oceńcie zresztą sami – taki napis na ścianie, w centrum miasta:

„Religia to opium dla ludu – Marks”.

I napis drugi, pod spodem, dopisany inną ręką i innym kolorem sprayu:

„Oddam religię za opium – Lud”.

I co, nie mówiłem, że jej przyszłość rysuje się w czarnych barwach? Poza tym tyranozauiry czy brontozaury i tym podobne gadziny wyginęły miliony lat temu, więc chyba wszystko ma swój kres wcześniej czy później, nie?

xxx

K o n s t e r n a c j a !

xxx

Prawdę powiedziawszy, to nie moje zmartwienie. Ani wasze. Ani waszych dzieci. To, myślę, zmartwienie naszych dalekich praprapraprapotomków. Więc niech oni nad tym sobie posiedzą i połamią trochę kiepełę. Pod warunkiem, naturalnie, że będzie jeszcze nad czym siedzieć i będzie miał kto to robić. Poza tym, nie ma lekko, każdy powinien sam zapracować na swoją pajdkę chlebusia.

No, to za pomyślność owych niasiadówek i wasze zdrowie!

xxx

Cholera, chyba jednak za dużo piję. Już nawet Anna to zauważyła.

– Za dużo pijesz, kochanie – powiedziała kiedyś.

– Wiem – odparłem.

– Musisz? – zaczynała się rozkręcać.

– Tak – nie dawałem za wygraną.

– Dlaczego? – kontynuowała swoją prokuratorską śpiewkę.

– Żeby świat był bardziej znośny.

– To znaczy? Źle ci ze mną?

– Nie w tym rzecz.

– A w czym w takim razie?

– Jeżeli życie jest płótnem, a każdy z nas malarzem, to alkohol – przynajmniej w moim przypadku – jest farbą. Dzięki niemu świat mam czasami kolorowy.

To ją dobiło – zamilkła. Zresztą, prawdę mówiąc, to żadna niespodzianka. Mówiłem już przecież wcześniej, że zawsze gram mocnymi kartami. Czyż nie?

xxx

A propos gry:

Jeszcze wam tego nie mówiłem, ale w czasach, kiedy miałem kilkanaście latek a wszystko należało do wszystkich, czyli na dobrą sprawę do nikogo i złodziej złodziejem poganiał, mówiąc nieskromnie, byłem w szkole jednym z najlepszych w gry piętężne. Oczywiście, awersja do szkoły awersją, jednakże nie była to również miłość do pieniędzy. Po prostu, czego by nie powiedzieć, hazard wciąga. Nawet takich smyków, jakim ja wtedy byłem. Więc „w bank”, „w dołek”, „w dmuchane”, „w łapki”, „w pasa”, czy wreszcie w pokera, ze względu na dużą ilość czasu im poświęcanego, kosztem szkoły naturalnie, nie było na mnie bata. Zresztą, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W wojsku bowiem miałem to jak znalazł. Szczególnie umiejętności pokerowe, czyli blefowania – które zapewne już wcześniej zauważyliście – bardzo przydały mi się na izbie chorych. Gdyby nie to, że musiałem stamtąd wyjść wcześniej niż to ustawa przewiduje, obcykałbym tam jeszcze niejednego do suchej nitki, a szefowi kompanii, zapalonemu szachiście, dodatkowo i gratisowo, najogłędniej rzecz ujmując, wybiłbym je z głowy. Niestety, w zamian za życie w cywilu, pozbawiony zostałem satysfakcji z późniejszych zwycięstw.

Zdarza się. Nie zawsze da się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

xxx



A propos pieczeni: jestem wegetarianinem.  
Naturalnie z przyczyn czysto mentalnych – nie religijnych.  
Żadne tam: Hare – Kriszna, Hare – Kriszna, Kriszna –  
Kriszna i tak dalej. Po prostu – lubię dobre samopoczucie i  
bezwonne gazy. To wszystko. Nie czarujmy się.

## IX

Za kilka dni dobrniemy do końca czerwca, co oznacza, po pierwsze – urlop Anny, po drugie zaś – wakacje. Prawdę mówiąc nie wiem jeszcze, gdzie je spędzimy. Ja oczywiście, ze zrozumiałych względów, chciałbym zostać na miejscu, jednak Anna upiera się na wyjazd nad morze pod namiot, co zresztą, jak na zodiakalną rybę, wcale nie dziwi. Argumentuje to tym, że w przyszłym roku nie wiadomo jak będzie, a w tym na tyle to ją jeszcze stać.

Co fakt, to fakt.

Powiem wam tylko tyle: jeżeli dojdzie do wyjazdu, to szykuje się niezłe szaleństwo – szczególnie kulinarne: placki ziemniaczane, konserwy – dla mnie, jeżeli już, to rybne – frytki, jeszcze raz konserwy i, naturalnie, chleb. Aha, jeszcze oranżada albo jakiś inny gazowany cymes.

Ale ucztą, co? Jak za Sasa – tylko popuszczać pasa!

xxx

Wspomnienie z przeszłości – nie tylko znad morza:

Byłem wtedy w Łazach. Z kolegą. Nic szczególnego i nie opowiadałbym wam o tym, ale tam właśnie miała miejsce moja czwarta miłość. Ot, zwykła wakacyjna przygódka, jakich wiele każdego roku w takim właśnie miejscu. Miała na imię Małgorzata i, tu ciekawostka, pochodziła z Pabianic – miasteczka, w którym swego czasu tak dzielnie radziłem sobie z wymianą podkładów – kolejowych, naturalnie. Zresztą, wtedy jakby prześladowało mnie to imię w sprawach sercowych – bo w pracy również. Tyle że tutaj w grę wchodziła mężatka z kilkumiesięcznym bąblem. Koniec końców pierwszy związek nie wytrzymał oczywiście próby czasu i odległości, drugi natomiast nie miał nawet szans na rozwinięcie się. Z pierwszego pozostało miłe wspomnienie, z

drugiego to, co powinno było pozostać, czyli przyjaźń i zrozumienie. A to, myślę, nierzadko znaczy więcej niż najwspanialsza nawet miłość.

– Dlaczego?

Powoli, powoli – nie wszystko naraz, bo będzie ambaras. Pożyjecie – zobaczycie. To wszystko, co mogę wam przepisać w tym momencie na tej bezpłatnej recepcie.

xxx

– Krzysztof? – To Anna.

– Słucham.

– Kończ już z tym i chodź do łóżka.

Zaczyna się. Bóg świadkiem – nie wiem jak to wytrzymam. Nie mam charakteru Hioba!

xxx

Już w łóżku.

– Więc?

– Co – „więc”?

– Dlaczego nie chcesz jechać pod namiot?

– Pod namiot mogę, nie chcę nad morze.

– Więc dlaczego nie chcesz jechać pod namiot nad morze?

– Bo już tam byłem.

– Wszędzie?

– Co za pytanie! Oczywiście że nie wszędzie.

– Więc pojedziemy tam, gdzie nie byłeś.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie.

I jak wam się podoba moja argumentacja? Mocna, nie?

– A może ty się boisz?

– Boję? A tak: szum fal morskich działa na mój pęcherz i moczę się niezależnie od miejsca, w którym się znajduję.

– Nie udawaj. Wiesz dobrze, o co mi chodziło.

– Czyżby?

– Myślę, że może boisz się tamtych miejsc, może wspomnień, a może po prostu ludzi, których możesz spotkać.

– Bzdura!

– Dobrze. Porozmawiamy jeszcze o tym. A teraz...

Hola, hola! Nie za dużo chcielibyście wiedzieć przypadkiem? O tych sprawach nawet moja mamuśka nic nie wie, a co dopiero...

– Kochanie, wstań i zgaś jeszcze światło.

Ha! Sami widzicie – nawet niebiosa są przeciwko wam. Przykro mi.

Pstryk!

xxx

A propos – mam dla was zagadkę:

Wiecie, gdzie był Mojżesz, gdy zgasło światło?

W porządku, nie męczcie się – odpowiadam: W ciemnościach!

Prościzna, nie?

xxx

Okej, w zamian dokończę wam o tym zdarzeniu z Małgorzatą nad morzem.

Jak wam wiadomo namiot w poważny sposób ogranicza grę miłosną – tym bardziej mały namiot, a w takim akurat, niestety, oddawaliśmy się wymyślnym uciechom amorka. Nie wiem, jak długo to już trwało – wówczas jednak miałem wrażenie, że nie mniej niż sto lat – tak mi zdrętwiał kark a język kołkiem stanął. Postanowiłem przerwać tę zabawę i bez zbędnych ceregieli po prostu w nią wejść. Jak

pomyślałem, tak też zrobiłem. I tutaj nastąpiła niespodzianka: po jakiejś minucie, może dwóch, pojawiła się od dawna już oczekiwana przez Małgorzatę menstruacja! Dacie wiarę? I nieważne nawet w tym momencie było to, że czułem się jak żydowski uchodźca z niewoli egipskiej, przepływający się przez własne „morze czerwone” w drodze do swojej ziemi obiecanej. Ważny był fakt mojej wcześniejszej dezercji z językiem z tamtych okolic! Wyobrażacie sobie, jak bym wyglądał, gdyby nie nastąpiło to na czas?

Wiecie? Myślę, że dezercję w najodpowiedniejszych momentach mojego życia, to ja mam we krwi wyssaną wraz z mlekiem matki.

Niech żyją dezercerzy! Gdziekolwiek, kiedykolwiek i jacykolwiek! Niech żyją! Niech żyją! Niech żyją!

xxx

No i stało się: jedziemy nad morze!

Jakich argumentów użyła? Nie wiem – było ciemno, a po ciemku to ja jestem kompletny wariat. No normalnie tracę rozum! Prawdopodobnie ze strachu. Zresztą, to by się zgadzało z potoczną prawdą – bo tylko głupcy jadą z drzewem do lasu.

xxx

– Co za drzewo? Co za las?!

xxx

Ha! Pomyślcie sobie trochę. Nie wszystko w końcu powinno się podać na tacy, moi kochani. Aha, jednego zawsze możecie być jednak pewni że na niej znajdziecie: rachunek! Tego, szczególnie teraz, w trakcie kampanii do parlamentu, politycy nie zapomną nam przedłożyć. I to za wszystko. Głównie jednak za nie spełnione obietnice. Za

wzajemne pomówienia sami sobie zapłacą. Zatem, aby tradycji stało się zadość:

Uwaga!, uwaga! Rachunek cierpliwości ludu uważa się za otwarty!

xxx

Swoją drogą chciałbym posiadać taki rachunek – niekoniecznie oczywiście polityczny. Na przykład u kobiet. Te bowiem są mi niezmiernie bliskie, w przeciwieństwie do polityki, która jest mi wręcz organicznie obca. Myślę, że bierze się to prawdopodobnie stąd, że miałem zostać szóstą córką. Tymczasem nastąpiła jakaś niespodziewana przewalanka w chromosomach, w wyniku której, i zapewne ku zdziwieniu i zaskoczeniu jednych, a, być może nawet, rozpaczycy drugich, na świat przyszedłem ja – Krzysztof Goldberg! Członek brzydszej połowy rodzaju ludzkiego.

Ale uzupełnienie, co? Zresztą, kto powiedział, że akurat wszystko musi być doskonałe?

xxx

Jakby na to nie spojrzeć, myślę, że to jeszcze jeden dowód na to, że seks i polityka są ze sobą nierozzerwalnie związane na zawsze. Aha, i jeszcze cyrk. Pełen triumwirat!

xxx

Przykład – pierwszy z brzegu:

Mój wspomniany wcześniej wyjazd do Frankfurtu w byłej NRD nastąpił właśnie z młodzieżowej organizacji, która, tak się składa, była bezpośrednim zapleczem rządzącej wówczas partii. A wiadomo przecież, że bez tego nie zaistniałaby w żaden sposób Inga – a może i nawet łańcuch kolejnych. Kto wie?

To takie moje małe usprawiedliwionko za ów romans ze Związkiem Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

xxx

Anna ujmuje to w charakterystyczny dla siebie sposób. Być może nieco zbyt dosadny, ale za to niezwykle trafny:

– Dupy od serca, żebyś nie wiem jak kombinował, po prostu nie oddzielisz. Siła wyższa, kochanie.

Jeżeli można tutaj jeszcze cokolwiek dodać, to chyba jedynie parafę. I to na dobitkę oburęczną. Powtarzam: oburęczną!

Ciach – mach!

xxx

Jak zauważyliście, pod wieloma twierdzeniami Anny podpisuję się jakby niejako w ciemno, siłą mimowolnego rozpędu. W ogóle Anna jest jedyną osobą, której do tego stopnia wierzę, iż swoją parafę złożyłbym nawet pod własnym wyrokiem śmierci, gdyby to ona mi go przedłożyła, uważając, że tak właśnie trzeba. Na szczęście, oprócz łóżka, łączy nas jeszcze wspólnota poglądów, dlatego małżeństwo nie jest dla nas aż tak ważne – przynajmniej na tym etapie życia, w jakim się obecnie znajdujemy.

Zdrowie Anny! Zdrowie wszystkich nowożeńców!  
Zdrowie wolnych związków!

xxx

Kiedyś miejsce Anny zajmował mój serdeczny przyjaciel Jarek – z wyłączeniem, naturalnie, łóżka. Ale od kiedy podżyrowałem mu pożyczkę, przez co przekreślił mnie tak, że wylądowałem na tym jak Zabłocki na mydle, wyleczyłem się doszczętnie z dziecięcej ufności w ludzi na dłuższy czas.

Cóż, jedni nie wierzą swoim żonom, inni – politykom. Ja nie wierzę zarówno ich żonom, jak i politykom, a od tamtego czasu, na dobitkę, i przyjaciołom.

Zdarza się. Każdy w swoim życiu prowadzi jakąś tam swoją małą zimną wojnę. Tak to już jest.

xxx

Wiadomość z ostatniej chwili – szczególnie dla zawiedzionych i rozczarowanych:

Nastały wakacje!

– Hurraaaa!...

Ale dziecinada.

xxx

Co do mnie, to, prawdę mówiąc, nie mam się z czego cieszyć. A to mianowicie z dwóch powodów. Pierwszy to ten dotyczący mojego wyjazdu nad morze, drugi – za dwa miesiące kończy mi się zasilek i będę musiał już na poważnie rozejrzeć się za jakąś pracę. Oczywiście, mógłbym pozwolić sobie na ten luksus i dać się utrzymywać Annie – przynajmniej przez jakiś czas. Lecz wtedy nie tylko że miałyby nade mną przewagę – co, całkiem prawdopodobne, mogłoby rzutować, ujemnie zresztą, na nasze stosunki – ale, co gorsza, i ja niezbyt pochlebnie wówczas bym się nazywał. Najdelikatniejsze z tych określeń to, krótko mówiąc, utrzymanek!

Panuje się nad tymi eufemizmami, co?

xxx

Wiadomość dosłownie sprzed pięciu sekund – jeszcze ciepła:

Wyjeżdżamy w sierpniu!

Ahoj, przygodo! To ja – twoje marnotrawne dziecię!



## X

Stało się – wróciło stare. Nie wiem, czy to bardziej ciepło, czy też może bardziej brak zajęcia, faktem jest, że niektórzy taki stan jakby gorzej znoszą. Niestety, do tej grupy zgłosiła swój akces również i Anna. W czym rzecz?

Posłuchajcie:

– Krzysztof?

– Uhm.

– Pamiętasz?

– O czym?

– Naszą rozmowę.

– Rozmowę?

– Tak – sprzed ponad miesiąca.

– Przeceniasz mnie, kochanie. Ja na szyi mam głowę, nie komputer.

– Rozmawialiśmy wtedy o dziecku...

Nie musiała kończyć. Oczywiście, pamiętałem. I to doskonale. Ale myślałem, że ona o tym zapomniała, albo przynajmniej odłożyła te szalone mrzonki na plan późniejszy. Niestety, nie po raz pierwszy okazało się, że za bardzo ulegam złudzeniom.

– Dużo o tym ostatnio myślałam i doszłam do wniosku, że najwyższy czas, żebym miała dziecko.

Spodziewałem się czegoś podobnego, to fakt, ale Anna powiedziała to tak stanowczo, że kropnęło to mną tak, jakby już – za chwilę miała co najmniej urodzić.

– Słucham? – wykrztusiłem z siebie.

– Mówię, że powinnam mieć dziecko. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale jestem w tym wieku, kiedy najkorzystniej jest je urodzić – z biologicznego punktu

widzenia, naturalnie. Poza tym dwadzieścia osiem lat, to już nie przelewki – przynajmniej dla kobiety.

I zgadza się – mogłaby już właściwie urodzić. Problem tylko w tym, że ja nie jestem w podobnie odpowiednim wieku. W końcu czas nie bije jednakowo dla wszystkich. No, może oprócz Big Bena w Londynie – ale i to nie na pewno.

– Oczywiście, jak chcesz wszystko pozostanie tak jak było – Anna kontynuowała swoje z niezmaconym spokojem. – Nie musimy się od razu pobierać. Wynajmiemy tylko coś większego, a ty pójdziesz do pracy.

Nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć. Czułem, że nietęgo wyglądam z tym przerażeniem na twarzy, więc przespacerowałem się do łazienki i usiadłem na zamkniętym sedesie. Chciałem to przemyśleć na spokojnie – bez jej czujnego spojrzenia, a także trochę zyskać na czasie. Zarówno jedno jak i drugie nic mi nie dało – w głowie miałem jeden wielki bajzel myślowy. Jedno, co postanowiłem, to, jak uprzednio, grać cały czas na zwłokę. Nierzadko, myślałem, problemy same się rozwiązują. Najpierw wyjedziemy nad morze, potem Anna wróci do pracy, zajęć – może zapomni. Chociaż, z drugiej strony, pojawiła się refleksja – czy można odkładać to w nieskończoność? Czy powinienem tak robić? Może rzeczywiście ona ma rację? W końcu ja też nie jestem już pierwszej młodości. W moim wieku, jeszcze kilka tysięcy lat temu, ludzie dożywali kresu swoich dni. Natura zanadto ich nie rozpieszczała – była na tyle okrutna, że nie pozwalała im nawet porządnie się zestarzeć. Więc, choćby dlatego, tym bardziej powinienem się spieszyć i coś po sobie pozostawić, coś, co przetrwa, co przeżyje... moją śmierć.

– Więc? – dobiegło z pokoju.

Wstałem, spuściłem dla niepoznaki wodę i umyłem ręce.

– Krzysztof, słyszysz mnie?!

Wróciłem do pokoju.

– Słyszę, nie musisz krzyczeć.

– Pytałam...

– Wiem, o co pytałaś.

– Więc?

– Kiedy byś chciała urodzić to dziecko?

– Och! Krzysztof. Naprawdę się zgadzasz? – podskoczyła do mnie w tri miga.

– Tak się składa, że cię chyba kocham.

– Och! Krzysztof. Krzysiu!

Brak światła po raz drugi! Sorry.

xxx

Pomyśleć, że niektórym tak niewiele potrzeba do szczęścia. Zauważyliście? Cholerni minimaliści!

xxx

Swoją drogą, tak myślę, to trochę szemrana sprawa z tym szczęściem. Bo w końcu nie dla wszystkich oznacza ono to samo. Dla Anny, na przykład, będzie nim owo upragnione dziecko, podczas gdy dla mnie... Nie, oczywiście, włosów z głowy rwać sobie nie będę – tym bardziej, że to towar akurat u mnie dosyć poważnie deficytowy, niemniej jednak szczęściem tego nazwać nie mogę. Innymi słowy – jej szczęście, niestety, nie jest tożsame z moim. I to nie dlatego, że nie chcę mieć dzieci, bo, jak już wspomniałem, lubię je – nawet bardzo, rzecz w tym, że o wiele bardziej lubię je robić, niż mieć. Tak to już jest – jedni mają cholernie silnie rozwinięte uczucia macierzyńsko-ojcowskie, inni znów pragną jedynie korzystać z praktycznych zajęć z

przysposobienia do życia w rodzinie – nierzadko do wiwatu i bez żadnych ujemnych konsekwencji!

Myślicie, że taka rozbieżność czynów i chęci to poważny grzech?

xxx

Oczywiście, stoi to w jaskrawej sprzeczności do koncepcji, co niektórych bogobożnych, usilnie chcących zbawić świat i mnie przy okazji, ale w końcu, jeśli nawet jest to grzechem, to, po pierwsze – moim, po drugie zaś, jeżeli przyjąć, iż Bóg stworzył nas na wzór i podobieństwo swoje – a nie my Jego! – to stworzył nas również ze wszystkimi ułomnościami, więc i z grzechem. Tym samym grzech jest rzeczą boską. A czy godzi się nam wyzbywać rzeczy boskiej?

Można to potraktować jako łamigłówkę dla znudzonych semantyków. Albo egzegetów. Albo rebusowców. I tak dalej, i tak dalej.

xxx

Zagadka druga:

Czy grzechem jest lubieżność, gdy poglądów bywa zbieżność?

No, kombinujcie. Kombinujcie!

xxx

Wracając do tematu:

Tak się składa, że nie należę do tej grupy ludzi, którzy mają silnie rozwinięte uczucia macierzyńsko-ojcowskie. Nie znaczy to oczywiście, że jestem samolubem i dbam tylko i wyłącznie o siebie i własny interes. Faktem jest jednak, nie do ukrycia zresztą, że sam bym co nieco jeszcze possał.

– Mmmhmmmm – Anno... Mhm – och!, Anno...

xxx

Teraz, myślę, chyba już wszyscy wiecie, dlaczego z Anną bywam szczęśliwy, co?

xxx

Małe wyjaśnienie: Powiedziałem – „bywam”, ponieważ, gdyby było inaczej, miałbym do czynienia ze stanem s-permanentnym, a ten byłby na dłuższą metę nie do zniesienia. Mam rację?

No!

xxx

Podobnie było zresztą, to znaczy nie do wytrzymania, z moją kolejną namiętnością, to jest Dorotą. To był istny demon nieokiełznanego seksualizmu! Myślałem że albo zwariuję, albo mnie któregoś dnia podczas tych miłosnych igraszek najzwyczajniej w świecie wtrązoli, jak modliszka swojego samca, który po odwaleniu tego, co do niego należy, okazuje się zupełnie nieprzydatnym gościem – z jej, naturalnie, punktu widzenia. I tak jak – znacie mnie – lubię grać w te klocki, tak wtedy obrzydły mi one w sposób maksymalny. Dacie wiarę? Nie byłem w stanie zrobić nawet dziesięciu pompek – tak mnie dokładnie wyczyściła z sił witalnych. A że zawsze było jej mało i mało, i robiliśmy to gdzie tylko popadło, osiągnęła tutaj naprawdę świetne wyniki. Przy wzroście sto siedemdziesiąt sześć centymetrów ważyłem jak kiepski kapłon nie nadający się na stół świąteczny – coś około pięćdziesięciu pięciu kilogramów. Żebyście mieli pojęcie, co przeszedłem, powiem wam tylko tyle, że wychodząc z wojska ważyłem siedemdziesiąt trzy kilo. Powtarzam: siedemdziesiąt trzy!

Jedno tutaj jest pewne: nie był to najlepszy przykład twierdzenia – „przez żołądek do serca”.

xxx

Poza tym oprócz potencjalnych suchot które poważnie mi zagrażały, jeszcze jedną rzecz dzięki niej zyskałem: akrofobię, czyli lęk przed wysokością, który ostatnio, notabene, jakby przeradzał się w agorafobię, czyli lęk przed otwartą przestrzenią. Załatwiła mi to w bardzo prosty sposób. Jak już wiecie, robiliśmy to wszędzie, wykorzystując każdą nadarzającą się ku temu okazję. A to pod natryskiem, a to w windzie, a to na klatce schodowej, a to na łonie natury i jeszcze w kilku innych miejscach, których wymienianie jest i nudne, i zbędne, oprócz, myślę, właśnie tego jedyne, dzięki któremu załapałem ów lęk, mianowicie – na wieżowcu. Przyznacie – wyborne miejsce na seks! Nie to, żebym od razu sikał ze strachu. Jednak nigdy wcześniej nogi nie zwiotczały mi tak jak wówczas, na długo jeszcze przed orgazmem. Można śmiało tutaj powiedzieć, że był to mój „pierwszy krok w chmurach”. A jako że nigdy jednak nie należałem ani do harcowników podniebnych eskapad samolotowych, czy szczególnych zwolenników zabaw karuzelowych, to wiem też dzisiaj, że był to mój krok ostatni. Ostatni w chmurach oczywiście.

Zdarza się.

xxx

Anna znowuż mówi, że po „tym”, to ona zawsze się czuje tak, jakby właśnie lewitowała w chmurach.

Oczywiście, to żadna tajemnica – ludzie są różni, są też i próżni. Że nie wspomnę już o kobietach. To jest dopiero kosmos różnorodności!

xxx

Taki przykład:

Głęboka noc. Hotel pogrążony w nieruchomym śnie.  
Martwa cisza.

– O... o... o... o tak, tak... A!... Jeszcze – jeszcze –  
jeszcze... O tak – tak, jeszcze, jeszcze, jeszcze... Kocham  
cię – kocham... y – ko – ooooooo...

No, chociaż raz nie musiałem gasić światła.  
Zadowoleni?

xxx

Zresztą, wasza sprawa – ja zrobiłem swoje.

xxx

Wiadomość z ulicy:

Kampania wyborcza z każdym dniem nabiera  
rumieńców. Ktoś kogoś opluł, ktoś kogoś pozwał, ktoś dostał  
wyrok, ktoś kogoś przeprosił, słowem – nie tylko pieniądze  
ulegają dewaluacji, mity również. „Solidarność” tutaj tym  
bardziej nie jest świętą – nie zachowała swojego „wianka”.

Tak to już jest – życie.

xxx

Konstatacja – do tego, co wyżej:

Cóż, nie wszyscy są wielkimi politykami. Wielu jest  
jednak takich, którzy są na tyle złymi, że aż wielkimi w  
swoim potencjalnym zagrożeniu.

I tak też się zdarza.

## XI

14 lipiec. Dziś są moje urodziny. Bergmana zresztą również. Tyle że on nic o tym nie wie że są moje, więc obchodzimy je osobno. Myślę jednak, że obaj chętnie wychylimy za jeszcze jedną dzisiejszą solenizantkę, mianowicie – za Stany Zjednoczone Europy, czyli Francję. A więc, panie Ingmarze, za wolność – równość – braterstwo:

– Salut!

xxx

Ktoś otwiera drzwi.

– Hola! Sam już pijesz? – To Anna. Wróciła z porannych zakupów.

– Jakie sam? Z nim.

– Z kim? Nikogo nie widzę?

– Z tym gościem w lustrze. Z nim zawsze pije mi się najlepiej – trzyma tempo.

Anna śmieje się. Podchodzi do mnie, zabiera mi szklankę i mówi:

– Na czczo, kochanie, bardzo niezdrowo. Poczekaj chwilę, zrobię śniadanie. Aha, wszystkiego najlepszego.

Tutaj następuje naturalnie zwykły ceremoniał, ale że jesteśmy sami, możemy pozwolić sobie na jego przeciągnięcie. Ja próbuję robić to ponad miarę.

– U-m, teraz nie – Anna próbuje przerwać to, co jeszcze nie rozkręciło się na dobre.

– Dziś są moje urodziny – nieśmiało przypominam.

– Wiem, kochanie. Ale najpierw muszę wziąć natrysk.

– Niemyta też mi smakujesz.

– Wariat. – Śmieje się. – Puść! Proszę cię. Nie będziesz żałował. Przynrzekam.

– Słowo?



– Harcerki!

Chwilę gram na zwłokę.

– Okej. Więc nie trać czasu, dziewczyno, i korzystaj z wolności.

Anna odwraca się i po chwili znika w łazience. Osuszam kieliszek do końca i czekam. Czas jednak, mam wrażenie, wlecze się niemiłosiernie, więc pozbywam się nienaturalnie krępującej ciała garderoby nocnej i podążam za nią.

O, Boże!, nic niezwykłego – wytrysk jak każdy inny. Tfu!, to znaczy natrysk oczywiście. No, może tylko z większym ciśnieniem.

xxx

Jak każdy inny z Anną, oczywiście. Poza tym – muszę mówić? – naturalnie, miała rację – nie żałuję. Po prostu pysznocha! Wręcz ambrozja. Po której czuję się naprawdę wyjątkowo, co najmniej jak młody bóg.

xxx

Tak sobie myślę, że to jest lepsze niż niejeden tort urodzinowy. Ba, niż wszystkie torty świata razem wzięte!

To dopiero prawdziwa słodycz!

xxx

Zatem: śmierć słodyczom! Nienaturalnym, naturalnie.

xxx

Aha, zapomniałbym: Jak to mówią nasi sąsiedzi: „Guten appetit!”. Albo: „Priятnawo apetita!”. Albo: „Dobru chut!”. I tak dalej, i tak dalej.

xxx

Jedno tutaj nie ulega wątpliwości: Anna takimi cymesami urodzinowymi rozpieszcza mnie. Ja, oczywiście, nie pozostaję jej dłużnikiem – zawsze reguluję swoje rachunki, jak wicie jednak boję się, że już przyzwyczailem

się do niej jak pies do budy i, gdyby „coś-kiedyś”, co nie daj Boże!, to będzie mi cholernie ciężko poradzić sobie z samym sobą. Tym bardziej, że jestem diabło stresowy.

Cóż, uzależnienie posiada różne oblicza. Niestety, nierzadko nawet zwodniczo bardzo miłe.

xxx

Naturalnie, wcale nie musi zaistnieć to „coś-kiedyś”. Jednak, wiecie, na dwoje babka wróżyła: albo będzie żyła, albo będziegniła. Natury nie można oszukać – zawsze zgłasza się po swoje wcześniej czy później, niczym lichwiarz. Mówię wam, niczym lichwiarz!

xxx

Podobnie jest, tak myślę, również z naszą tolerancją. Dopóty „kochamy” Murzynów, Arabów, Azjatów czy też inne „odmienne” nacje, dopóki nie mieszkają tutaj i nie są naszymi sąsiadami. Gdy nimi zostają, po jakimś czasie wszyscy oni lądują w jednym wspólnym worku, opatrzonym pierwszym z brzegu sprawdzonym a dobrym napisem: „Żydzi!”. I dopiero wówczas możemy czuć się tak naprawdę u siebie w domu. Bo nic tak nie scala, nie jednoczy, jak wspólne niebezpieczeństwo, wspólny wróg – choćby i wyimaginowany. Dzieje się tak prawdopodobnie dla usprawiedliwienia zarówno naszego nieudacznictwa, jak i zaściankowości myślenia i wszystkich nieszczęść życiowych.

Cóż, miłość niejedno ma imię – powiedział zając, jeża ściskając.

xxx

Nie mówię oczywiście, że ja także przechodziłem taką szkołę uczuć. Ukryć jednak się nie da, że czasami bliźni do tego stopnia docenił moje pochodzenie, że aż byłem zdeterminowany na emigrację właśnie. Od tej decyzji byłem o przysłowiowy koński pazur. Tylko że zaraz zadawałem

sobie pytanie: Gdzie i niby dlaczego miałbym emigrować? W końcu tutaj się urodziłem, tutaj jest mój kraj, tutaj przeżyłem, jak dotąd, trzydzieści trzy lata; tutaj zaliczyłem swoje pierwsze kontakty, zarówno z władzą, jak i z dziewczętami; tutaj też nabawiłem się nadkwasoty i wrzodów dwunastnicy, i tutaj w końcu mieszkam z Anną, z którą jest mi dobrze – byłoby z pewnością bardzo dobrze, gdyby tak upierdliwie nie kombinowała z tym dzieckiem – i z którą za jakieś mniej więcej dwa tygodnie śmignę pod namiot nad morze. Wiecie – „morza szum, ptaków śpiew, złota plaża wśród drzew” i takie tam podobne bajery. Więc, sami widzicie, nie było i nie ma żadnych powodów – przynajmniej ja takich nadal nie dostrzegam – aby stąd wyjeżdżać. Tym bardziej, że w obecnej chwili jestem na zasiłku i nie mam nawet na napiwek dla babci klozetowej, a co dopiero mówić o bilecie na wyjazd za granicę.

Wiadomo – biednemu zawsze wiatr w oczy! I deszcz. I śnieg i... i co tam jeszcze może się pojawić z tych niekończących się plag biedaka.

xxx

Poza tym, praktycznie rzecz biorąc, wszędzie jest tak samo: i tu i tam ludzie umierają.

Takie już zbójeckie prawo życia, co zrobić.

xxx

Zresztą, czy nie byłbym głupcem, rezygnując z tego wszystkiego – z całej przeszłości, miejsc, znajomych, tylko dlatego, że jakiś jeden cymbał z drugim coś mi tam kiedyś powiedzieli?

Otóż byłbym. I to potężnym. Jakby nie z tej ziemi!

xxx

Tak między nami – i tak nim jestem. Bez względu na swój wybór i wszystkie inne pozostałe neutralne decyzje. Z

innymi zresztą jest podobnie. Bowiem jest tak, że ani wykształcenie, ani doświadczenie, ani też w ogóle cała mądrość naszego pięknego świata nie są w stanie nas zbawić ani ochronić, zarówno przed własną, jak i cudzą głupotą. Krótko mówiąc: świat się śmieje!

xxx

A może więcej – wszechświat?

xxx

Myślę, że jeżeli rzeczywiście istnieje „gdzieś-tam” poza nami życie, to tamtejsi mieszkańcy obserwując nas pękają ze śmiechu, który, na dodatek, jest darmowy! Co, szanowni kosmici, mam rację? Śmiechu warte?

xxx

A może bardziej ich jednak przerażamy niż śmieszymy?

Kto wie? Kto wie?

xxx

Siebie, jakby nie było, przerażamy w końcu wysmienicie – tyle tylko, że nieskutecznie. Gdybyśmy jednak udoskonalili nasze techniki zabijania, unowocześnili obozy koncentracyjne, stworzyli więcej żebraków i dzieci umierających z głodu, zapewne „tamci” zrozumieliby nasze poczucie humoru i, jestem tego pewien, ubaw mieliby po pachy! Dlatego, uważam, należy koniecznie rozszerzyć repertuar przerażających nas rzeczy. Jak kpić, to na całego i do końca! Tylko takie postawienie sprawy gwarantuje nam udaną rozrywkę i dobre samopoczucie.

– Halo?! Halo! Do gazu proszę tędy. Tędy! – powiedziałem. – Będzie bliżej.

xxx

Poza tym przyszłość w końcu jeszcze przed nami. Nie wiadomo, co prawda, jak długa, ale na pewno uda nam się niejedno jeszcze powiedzieć. Być może nawet wszystko –

oprócz jednego naturalnie: ostatniego słowa. To bowiem, co nie jest chyba żadną tajemnicą, zarezerwowane jest już od dawna dla tego, który gasi światło.

xxx

– Dla kogo?

xxx

Pożyjemy – zobaczymy. Póki co, cieszymy się. I bawmy. I dziękujemy, że światło nadal się pali. Amen.

xxx

A propos światła:

Nadal myślicie, że czeka nas świetlana przyszłość?

## XII

Wraz z zakończeniem bliższej znajomości z Dorotą – dalsza bowiem istniała i, myślę, istnieć będzie nadal – zakończyła się również moja praca w laboratorium. Zapewne znacie to uczucie duszenia się w jakimś zamkniętym środowisku, zatęchłym klimacie? Identycznie było właśnie ze mną. Po prostu nie miałem czym oddychać! Dlatego, zarówno jednego jak i drugiego, nie żałowałem. Naturalnie, odzywała się we mnie od czasu do czasu jakaś nuta nostalgii, ale to normalne – każde zwierzę w końcu tak reaguje. Poza tym, myślę, jest to bardziej tęsknota za czasem przeszłym, swoją młodością czy też młodością, niż za samym miejscem. To jest mniej więcej tak, jakby na przykład właśnie dzisiaj, teraz Anna puściła mnie kantem, mówiąc: „No tak, było nam dobrze, to prawda, ale nie na tyle dobrze, kochanie, żebym została z tobą na całe życie. Żegnaj”. To wszystko. Naturalnie, nie podobało by mi się to i zapewne przez jakiś czas wyłbym do księżycy jak wariat. Jednak nie byłaby to tęsknota za Anną, a raczej za tym, do czego Anna mnie przyzwyczaiła, co mi ofiarowywała, czym mnie rozpieszczała. A trzeba wam wiedzieć, że Anna to taki złoty środek, coś pośredniego między wszystkimi moimi dotychczasowymi namiętnościami, więc, sami widzicie, miałbym za czym rozpaczać i czego żałować. Oczywiście, z czasem by mi to przeszło. Bo, żeby żyć dalej, przejść musi – takie to już reguły tej gierki. Ale ile bym się przy tym nacierpiał, to jedynie ja do spóły z Panem Bogiem byśmy wiedzieli. Tylko my dwaj – prawdziwi mężczyźni!

xxx

Tak to już jest – jedni zadają cierpienie, inni cierpią. Doba jest długa – każdemu coś się dostanie. Niekoniecznie nawet według zasług.

Zdarza się.

xxx

Nie wiem, czy ja te zasługi miałem czy nie, faktem jest, że zanim wylądowałem w komisariacie i zapoznałem się tam za jednym machem, dzięki hojności swojego losu, z głodówką, dechami do spania i „ścieżką zdrowia”, jaką urządził mi rzeczony już wcześniej plutonowy, zarobiłem wcześniej za darmo w twarz od krewkiego „złotówkarza”, który mnie i kilku jeszcze świeżo upieczonych maturzystów za żadne skarby świata nie chciał wpuścić do swojej taksówki. Nie znaczy to oczywiście, że policzek ten nic mnie nie kosztował. Kosztował, i to sporo: kolegium, kilkumiesięczny wyrok – na szczęście w zawiasach, to znaczy w zawieszeniu – oraz wcześniej już wspomniane przeze mnie obrażenia cielesne i trwające do dzisiaj dolegliwości żołądkowe.

Jak to mówią: dostałeś w jeden policzek, czas na drugi. Zawsze to w końcu lepiej gdy równo się puchnie – bliźniacze deformacje są mniej zauważalne!

xxx

Księża zapewne powiedzieliby, że miłosierdzie ludzkie nie zna granic. Annę wolę nie pytać – znacie ją. Ja sam natomiast powiem jedynie tyle, że Temida jest ślepa – i to nie tylko w „stanach wyjątkowych”.

Tak to już jest.

xxx

Ale wracając do tematu:

Jak już wiecie, zostałem bez Doroty i pracy. I o ile z pierwszym mogłem sobie jeszcze jakoś poradzić, o tyle z

drugim – szczególnie po odebraniu mi prawa do zasiłku – nie bardzo. Aby żyć byłem zmuszony do poszukania sobie jakiegoś zatrudnienia. W ten oto niewyszukany przez los sposób wylądowałem w Domu Środowisk Twórczych. Niewyszukane również było, co tu dużo ukrywać, moje tam stanowisko: zostałem portierem. Gdybym zjawił się tam odrobinę wcześniej, być może zostałbym i dyrektorem. Niestety, to stanowisko było już obsadzone przez takie nieudane, tyle że młodsze, lokalne odbicie Kadafiego. Albo Huseina. Albo Kim-Ir-Sena. Albo Fidela Castro. I tak dalej, i tak dalej.

Jak to mówią – szczególnie podwładni: dyrektorek – dyktatorek.

xxx

W tych warunkach, sami rozumiecie, byłem zmuszony zadowolić się portierowaniem. Rzeczy pośrednie bowiem mnie nie interesują w ogóle. Taki już jestem: jak być, to kimś – albo leśniczym, albo niczym! Nie znaczy to oczywiście, że portier to takie „nic”, „zero” i można się z nim nie liczyć. To wszystko zależy od tego, jakim się jest portierem i gdzie. Poza tym, wbrew obiegowej a niesprawiedliwej opinii, drzwi również trzeba umieć otwierać.

Voilà!

xxx

– Niech będzie pochwalony, synek.

– Na wieki wieków, panie prezesie.

I jak wam się podoba? Prawda, że rodzinna atmosfera? Jak w domu. Dosłownie – jak w domu! I to nie tylko „środowisk twórczych”.

xxx



A propos prezesa. Prezes, to Zbigniew Nosal, szef kieleckiego oddziału Związku Literatów Polskich, z którym miałem kiedyś taką oto rozmowę:

– A najgorsze jest to, że nie jestem kochany. – To on.

– Tego nikt nie wie tak naprawdę ostatecznie i do końca. – To ja.

– Wiem – powiedział – to się czuje. – Sztachnął się i dodał: – Jestem strasznie chory, synek. Wewnątrz czuję, że jestem przez chorobę zżerany, wiele chorób! Właściwie, to stoję już nad grobem.

– Więc nie rozumiem tego świadomego pochodu w stronę tego właśnie miejsca – odparłem. – Wódka, papierosy – nie oszczędza się pan.

Na to on:

– Ja się niczego nie boję, synek.

Ja:

– To nie kwestia strachu. To utrata czegoś więcej.

On:

– A idź ty w pizdu!

Oczywiście, trafił mnie – nie miałem zielonego pojęcia, jak tam iść i którędy.

xxx

Ale to nic nowego i niespodziewanego – prezes zawsze tak trafiał. Jakby nie było – literat! Bo to jest tak, że jedni strzelają z miotły, inni z broni, a jeszcze inni z pointy. Anna, mimo że nie jest żadnym literatem ani też nie była w wojsku, jestem pewien, że potrafiłaby odpowiednio przygrzać ze wszystkich tych trzech rzeczy.

Tak to już jest, że niektórzy przychodzą na ten świat wszechstronnie utalentowani, inni nie – wola nieba.

Tyle.

xxx

Aha, poza tym niejeden z nas ma swojego prezesa przez całe swoje życie – i to bez względu na to, czy był, czy też nie był portierem.

Pewnych zagrywek natury się nie zmieni – siła wyższa.

xxx

– Krzysztof? – To Anna.

– Słucham, kochanie.

– Myślałeś już nad tym, co powiedziałam?

– To znaczy...?

– To znaczy, czy zastanawiałeś się nad swoją pracą, nad naszą przyszłością?

– Tak, oczywiście.

– I?

– I nic.

– Będziesz musiał coś znaleźć. Wiesz o tym!

– Tak. Wiem.

– To dobrze. Nie będę mogła utrzymywać ciebie i dziecka jednocześnie.

– Powiedziałem przecież, że coś znajdę.

– To dobrze, kochanie. To bardzo dobrze.

I tak oto „dobrze” dla jednych, nie oznacza wcale „za dobrze” dla drugich.

Zdarza się.

xxx

Nie znaczy to oczywiście, że Anna jest dla mnie takim właśnie wyżej wspomnianym prezesem. Faktem jest jednak, że wywiera na mnie diablo dopingujący wpływ – zmusza do ciągłej, intensywnej pracy nad samym sobą. Nad nią zresztą również – i to, myślę, że nawet więcej niż nad samym sobą. A że, jak wiecie, lubię te klocki jak mało które, więc specjalnie nie narzekam. Ale to już tak na marginesie – gdyby jakieś dziewczęta chciały mnie przypadkiem poznać.

xxx

– Tak? Słucham?... Czy poznaję? Naturalnie że poznaję!... Nie, wcale nie zaskoczony. Zdawało ci się... Tak, nadal jestem chętny... Ależ oczywiście, notuj. Krzysztof Goldberg, ulica... Halo? Halo!... By to szlag! Znowu przerwali połączenie. Nie dosyć, że przyjemności z tego żadnej, to jeszcze na dobitkę rachunki przychodzą, jak zwykle, zawyżone. Fachowcy od kabelków, psiakrew! A już tak dobrze szło. Co prawda nie wchodzi się ponoć dwa razy do tej samej rzeki, czy też raczej jej nurtu, ale przecież stara namiętność to nie rzeka, więc...

– Kto to był? – Jak zwykle czynnik zazdrości Anny, czy też może raczej babskiego wścibstwa, daje znać o sobie.

– Co...? Nie, nikt. Pomyłka.

– Co mówisz, kochanie?

– Powiedziałem, że to pomyłka.

– Nie rozumiem. Kto?!

Słyszycie? I tak jest bez przerwy. Jak tak dalej pójdzie, to będę musiał skołować sobie jakiegoś rzeczownika. Inaczej te pytania mnie wykończą.

Otwieram drzwi do łazienki, gdzie Anna bierze właśnie natrysk i powtarzam raz jeszcze:

– Powiedziałem, że to była pomyłka!

– Ach tak.

– Właśnie tak.

– O co ci chodzi?

– Mnie? O nic.

– Przecież widzę.

– O, Boże! Mogłabyś wreszcie przestać zabawiać się w prokuratora? Można od tych twoich ciągłych pytań sfiksować.

– Wcześniej ci to jakoś nie przeszkadzało?

– Wcześniej – wcześniej! Wcześniej wiele rzeczy mi nie przeszkadzało.

– Co się z tobą dzieje? Ostatnio jesteś jakoś dziwnie rozdrażniony. Wybuchasz z byle powodu.

„Z byle powodu!” – słyszycie? Trzeba przyznać ma tupet ta dziewczyna, nie ma co.

– Mam nadzieję, że do pojutra ci przejdzie. Nie chciałabym męczyć się z twoimi humorami na wczasach.

A nie mówiłem wam, że nie mam cierpliwości Hioba.

xxx

Naturalnie, wiem, że może to cokolwiek podejrzenie zabrzmieć, ale powiem wam, że tę cierpliwość posiadałem już jako portier w Domu Środowisk Twórczych. I to nie tylko z racji wykonywanego zajęcia i jego miejsca, ale w ogóle, o dziwo, taki wówczas byłem. Jak woda spływa po kaczce, tak i ze mną stresy sobie nie poużywały. Nie dałem im nawet zipnąć – niszczyłem je już w samym zarodku! Dzisiaj, niestety, to się zmieniło. Nie znaczy to oczywiście, że jestem jakiś choleryk. Po prostu ja posunąłem się trochę w latach, świat również nie stanął w miejscu i nie próżnował, a w końcu i same zarodki do zniszczenia też już nie te.

– Łaaa! Łaaa! Łaaa!

xxx

Jedni nazywają to ewolucją. Jeszcze inni – prostytutką. Ja mówię jedynie: Żegnaj, młodości! Witaj, smutku.

xxx

Jeszcze a propos Domu Środowisk Twórczych:

Nie wiem, czy ja już przez sam fakt pracy w takim miejscu byłem twórcą – trudno wyczuć, nie kielbasa – pozostawiam ten problem dialektykom. Jakby jednak nie

było jedno wszakże nie ulega tutaj wątpliwości: mój pobyt tam zaowocował w twórczy związek – z Renatą. I nie chodzi o to, że on sam z siebie był w jakiś sposób twórczy – bo nie był. Jego kreatywność i atrakcyjność polegała na czymś zupełnie innym. Dzięki niemu poznałem... Oczywiście, już wiecie. Zgadza się, chodzi o Annę. Dlatego, uważam, już choćby właśnie za to jedno powinienem być wdzięczny Opatrzności.

I jestem. Mówię: – Jestem! Aczkolwiek, jakby na to nie spojrzeć, mam też powody do utyskiwania. Choćby na przykład owa nieziszczona kariera z pucybuta na milionera która mnie, delikatnie rzecz ujmując, ominęła. Naturalnie, Anna to też skarb, to prawda. Ale prawdą jest również i to, że skarb ten, tak naprawdę do końca i ostatecznie nie należy do mnie, a i, nie oszukujmy się, można go również kiedyś, bardziej lub mniej udanie, zastąpić innym. Takie skarby mają bowiem to do siebie, że z czasem lubią się dewaluować i pokrywać patyną. Z karierą, jak wiecie, podobnie zrobić się nie da. Można ją jedynie rozmiąć na drobne. Ale to już zależy wyłącznie od nas samych. Jak to mówią: „Każdy z nas jest kowalem własnego losu”.

Tyle.

xxx

Aha, ale mówią też: „Wyżej siedzenia nie podskoczysz”.

Otóż to. Otóż to!

xxx

Wiadomość z ostatniej chwili:

Jutro wyjeżdżamy!

xxx

– Dobrego snu, kochani. Dobrego snu!

### XIII

Z Renatą to było tak, że ja miałem akurat nocny dyżur, podczas gdy ona – ubaw sylwestrowy. Oboje jednak bawiliśmy się podobnie. To znaczy – ona miała tyle uciechy ze swojej zabawy, co ja ze swojej pracy. Traf jednak chciał, że język mnie świerzbiał i w którymś tam momencie pozwoliłem to sobie zauważyć. Tyle wystarczyło. Kilka dni później, w mroźną, czarną ale pogodną noc, Renata została na moim dyżurze.

Oczywiście – prezenty gwiazdkowe bywają różnej wielkości. I to nie tylko te spóźnione.

xxx

Dlatego właśnie wierzę, że dopóki człowiek pałęta się po tym świecie, wszystko – no, powiedzmy prawie wszystko może się wydarzyć. Dopóki bowiem piłka w grze każdy wynik jest możliwy. W każdym bądź razie ja bronie nie składam. Tym bardziej że jeden, za to podstawowy warunek, spełniam: jestem biedny jak mysz kościelna!

xxx

Dzyń! Dzyń! Dzyń!

– Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Amen.

xxx

Aha, spełniam jeszcze jeden warunek: stale, nieprzerwanie i uparcie stwarzam niezbędną ku temu okoliczność. I tak po pracy portiera w DŚT, wykombinowałem sobie kolejną fuchę, tym razem w charakterze dozorczy nocnego. W szkole. Na dobitkę – nie uwierzycie – w liceum, do którego zawsze pragnąłem chodzić. To się nazywa mieć fart, co? Krótko mówiąc w prosty, niewyszukany sposób zaliczyłem podwójną korzyść.

Pierwsza: ziściły się w końcu moje młodzińcze marzenia,  
druga – potencjalna kariera z pucybuta na milionera była  
nadal przede mną!

– Boy! Szerzej, szerzej tę bramę, dobrze?

xxx

Że takich jak ja są miliony, a milionerów z  
pucybutów, jak na lekarstwo? O, Boże! Zawsze było więcej  
ludzi niż lekarstwa dla nich. Żadna tajemnica. Proza życia.

xxx

Ja ze swojej strony mogę jedynie powiedzieć tyle, że  
uczynię wszystko, aby swoją receptę zrealizować. Znacnie  
mnie – jestem wręcz chorobliwie ambitny i nie rzucam słów  
na wiatr. Poza tym mój wrodzony optymizm i silna, mocna  
wiara w lepsze jutro muszą zaprocentować. W innym  
przypadku możecie już dzisiaj szykować się na znajomy  
pogrzeb. Nie, oczywiście że nie wiem jeszcze kiedy, ale, jak  
to mówią, co się odwlecze, to nie uciecze.

Tak to już jest.

xxx

Z Renatą nie było inaczej. Gdy po jakimś czasie,  
wcale zresztą niedługim, wszystko pomiędzy nami było już  
jasne – przynajmniej dla mnie takie było, sprowokowała  
rozmowę:

– Więc nie kochasz mnie. – To ona.

– Nie. – To ja.

– Ale pokochasz. Wiem to.

– W takim razie wiesz więcej ode mnie.

– Będzie tak. Zobaczysz.

– Wiesz? Zazdroszczę ci.

– Mnie? Czego?

– Tej pewności.

– Zrobię wszystko, żeby tak właśnie się stało.

– Nie wątpię. Tylko po co?  
– Mam już swoje powody.  
– Powody? Nie rozumiem. Jakie?  
– Dowiesz się. Cierpliwości. Wszystko w swoim czasie.

I wiecie, co zrobiła? Oczywiście – zapoznała mnie z Anną. Słyszycie? Z Anną!

Ale zemsta, co? Prawdziwa dintojra!

xxx

Gdyby wszyscy tak na mnie się mścili, byłbym najszczeńliwszą ofiarą pod słońcem! Niestety, nie jest mi to dane. Ale ofiarą i tak jestem – tyle że inną i innych ludzi. I innych okoliczności. I innego czasu. I tak dalej, i tak dalej.

Zdarza się. I to nawet wcale nierzadko.

xxx

Kolejne pytanie – już ostatnie i za darmo:

Znacie inne ofiary oprócz tych, naturalnie, dawanych na tacę co niedziela?

xxx

Wiem, wiem – „kto z kim przestaje, takim się staje”.

xxx

Wniosek – skierowany pod swoim adresem:

W najbliższym czasie muszę zmienić towarzystwo! Nie wiem, czy to coś da, ale w końcu od czegoś trzeba zacząć te zmiany. Od siebie trudno to zrobić, więc pozostaje towarzystwo. Tym bardziej że warunki ku temu, za wyjątkiem pogody, są idealne. Powiedziałem – „za wyjątkiem pogody”, bo ta rzeczywiście jest paskudna od kiedy przyjechaliliśmy tutaj. Ciągłe tylko leje, leje i leje. Jakby co najmniej wszyscy aniołowie na komendę pochorowali się na enurezję, albo też w taki właśnie, dość kontrowersyjny i nie za bardzo wyszukany sposób, zastrajkowali. Tylko



powstają tutaj pytania: Po co? I dlaczego? I przeciw komu?  
Aha, no i dlaczego akurat my, tutaj na dole, mamy cierpieć za  
to, że ci „na górze” znowu się nie dogadali ze sobą na czas,  
co? No, słucham?

xxx

???

xxx

Naturalnie, można się było tego spodziewać – stara  
śpiewka.

xxx

Informacja prosto „z góry”:

Zapowiadają od jutra roz pogodzenie.

Tylko spokojnie. Tylko spokojnie. Pożyjemy –  
zobaczymy. I doświadczymy. Jedna jaskółka wiosny jeszcze  
nie czyni.

xxx

Stało się: przestało padać! Jest szansa, że jeszcze  
dzisiaj zaświeci słońeczko – i to nie tylko to na niebie.

xxx

Wiadomość ku pokrzepieniu tracących nadzieję:

Zaświeciło! I to około godziny trzynastej, na dobitkę  
trzynastego w piątek. Dacie wiarę? Mało tego – po raz drugi  
zaświeciło, ale już tylko dla mnie: na imię ma ono, nomen  
omen, Beata i jest tutaj z mężem. Ale to mi nie przeszkadza –  
zawsze lubiłem rywalizację. Nic mnie tak bowiem nie  
mobilizuje, jak właśnie zdrowa konkurencja! Oczywiście, to  
nie jest tak, że ja mam powodzenie u płci przeciwnej na  
zasadzie – podobają mi się wszystkie dziewczyny jak leci.  
Fakt, podoba mi się ich sporo. Ale, myślę, to raczej normalne  
dla każdego estety. A Beata, co tu owijać w bawełnę, jest  
szczególnie w moim typie. Bo mój typ, trzeba, żeby wiedział  
każdy, to taki trochę typ spod ciemnej gwiazdy.

Cóż, chyba zawsze miałem w sobie coś ze straceńca.

Dobranoc.

xxx

Nie myślcie tylko, że dzięki tej krótkiej charakterystyce – właściwie jedynie zarysowi, wiecie teraz o niej wszystko. Nic nie wiecie! I to nie tylko dlatego, że prawda, czy też kłamstwo, są bardziej złożone. Ale dlatego, że ona jest zagadkowa – nawet wówczas, gdy... No właśnie, nawet wówczas gdy się rozbierze. Bo rozebrała się. Dzień później. Jeden dzień!

Przettrzymała mnie, szelma, nie ma co!

xxx

Naturalnie, tak jak po nocy jest dzień, a po dniu noc, to też było nieuniknione i musiało, wcześniej czy później, jakoś się odbić. I odbiło. Już nazajutrz.

– Wiesz, jesteś świnia. – To Anna.

Oczywiście, poznajecie.

– Nie chciałem tutaj przyjeżdżać, przypomnij sobie. –  
To ja.

Przyznacie, że tym razem nie gram najmocniejszymi kartami. Niestety, ta rozgrywka należy do niej.

– To nie ma nic do rzeczy. Zachowałeś się strasznie i nic tego nie tłumaczy!

No tak, miała rację. Znowu.

– I co ona takiego ma, czego mnie niby brakuje? Hm?  
Słucham?!

Prawdę mówiąc nie wiedziałem, czy rzeczywiście coś takiego jest i Beata to ma. Wiedziałem co innego: Beata mi się podobała. Anna, naturalnie, również, ale to zupełnie inna melodia – znana i starsza. To wszystko.

– No, dlaczego tak nagle zamilkłeś? Mowę ci odjęto?

– A co tu mówić? Spodobała mi się. To wszystko.

– Spodobała ci się. Prawda, jakie to proste? Wiesz, kim ty jesteś? Dziwkarzem. Zwykłym, podłym dziwkarzem!

Anna zaczynała się rozkręcać. Wiedziałem, że nie zostawi na mnie suchej nitki. Dla mnie nadal pogoda była pod psem.

– Gdybym ja chciała się gzić z każdym mężczyzną, który mi się podoba, nazywałabym się podobnie. Ale tego nie robię – chociaż mogę, nie myśl sobie. A wiesz, dlaczego nie robię? Bo nie pozwalam swojej chuci na rządzenie moją dupą. W odróżnieniu od ciebie, dziwkarzu!

Jak zwykle nie przebierała w słowach. Nie powiem jednak, żeby było do końca tak, jak mówiła. Fakt, coś na rzeczy tutaj było, to pewne. Po chwili, nieco już spokojniejsza, zapytała:

– Ile to już trwa?

– Ile? Jak to ile? Raptem dwa razy...

– Raptem dwa razy! Drobiazg, prawda?

– Wydaje mi się, że jednak to wyolbrzymiasz. W końcu nic się takiego nie stało... – Urwałem; wiedziałem, że palnąłem głupstwo i że jest już za późno na odkręcenie tego – kolejny atak był nie do uniknięcia.

– Jesteś wstrętnym seksualnym niewyżytkiem! Niech cię szlag trafi, pieprzony obrzezańcu!

Wiele mogę wytrzymać i ścierpieć – oprócz jednego: gdy ktoś się czepia tradycji. Tego znieść ani nie potrafię, ani nie mogę, ani też nie chcę! Więc zaoponowałem – na razie spokojnie:

– Przestań – powiedziałem. – Proszę cię.

– Niewyżyty obrzezaniec!

– Wcześniej ci to jakoś nie przeszkadzało. Ba – jak zauważyłem, byłaś nawet zadowolona.

– Zadowolona? Ha! – z tej glisty, którą trzymasz w rozporoku? Nie bądź chociaż śmieszny, jeżeli musisz już być tragiczny.

I tutaj, muszę wam się przyznać, nie wytrzymałem. Nie wiem, co mi się stało, ale dosyć miałem tego żandarma w spódnicy i poniżającego mnie tonu. Wszystko postawiłem na jedną kartę – wóz, albo przewóz – innej drogi już być nie mogło, sprawy zabrnęły za daleko. Powiedziałem:

– Tak naprawdę istnieje tylko jeden rodzaj śmieszności: gdy pokocha się „niewłaściwego” mężczyznę lub „niewłaściwą” kobietę. Inne śmieszności, jeżeli nawet istnieją, są do przełknięcia, pogodzenia się z nimi w ten czy inny sposób.

Przez chwilę miałem wrażenie, że wydma na której się znajdujemy, oderwała się od stałego lądu i pożeglowała hen w morze, ot tak – byle przed siebie, i teraz tkwi gdzieś samotnie, z dala od świata ludzi i hałasu – tak było cicho i spokojnie. Było to jednak tylko złudzenie, co błyskawicznie i niezwykle dobitnie uzmysłowiły mi słowa Anny:

– Tak – powiedziała – chyba masz rację. – I odeszła. Po prostu odwróciła się i odeszła. To wszystko.

Wiedziałem, że coś się stało, że powiedziałem coś, czego prawdopodobnie będę żałował. Być może jeszcze nie teraz, w tej chwili, ale z czasem na pewno. Niestety, na wszelkie zmiany było już za późno – film szedł dalej.

Jeszcze tego samego dnia Anna spakowała swoje manatki i odjechała do domu. Wychodziło na to, że kolejny rozdział – rozdział pod nazwą Anna jest zamknięty. Czułem się jednak dziwnie: z jednej strony odczuwałem pewną satysfakcję z tego, co się stało, z drugiej jednak... Wicie jak to jest, gdy było się z kimś, bądź co bądź, bardzo blisko przez niemal dziewięć miesięcy i nagle rach-ciach! i trzeba z

tego wszystkiego, co was dotąd łączyło z tym kimś, zrezygnować, odrzucić, zapomnieć. Na pewno nie jest to radość. Jeżeli ktoś nie wie, co to znaczy, to powiem tylko tyle, że to jest tak, jakby nakazać komuś zmienić jego przyzwyczajenia, albo, dajmy na to, jego ulubioną dietę. Albo nakazać mu, żeby zrezygnował w ogóle, na przykład, z deserów. Albo podwieczorków. Albo ze swojego hobby. I tak dalej, i tak dalej. Przysnacie, że to niezbyt obiecująca perspektywa. Na szczęście w takich sytuacjach pozostaje jeszcze jedna rzecz: nadzieja. Ja ją miałem. Miała na imię Beata i, niestety, bardzo szybko okazało się, że była to nadzieja płonna. Mimo ogromnych starań Beata nie była w stanie w żaden sposób zrekompensować mi utraty Anny.

Cóż, nie wszyscy dziedziczą grę w te klocki w genach. Niektórym od początku do końca pozostają jedynie w rozgrywkach bierki.

Tak to już jest.

xxx

Wiadomość z ostatniej chwili:

Koniec pieniędzy = koniec wakacji!

xxx

Wysyłam telegram:

„Mamusi! Synek wraca do domu!”

Tyle.

## XIV

Oczywiście, nie wiem jak wy, ale ja zawsze lubię mieć jakąś otwartą furtkę w odwodzie – choćby i nawet przy tak fatalnym stanie naszego budownictwa, jakie obecnie posiadamy.

Voilà!

xxx

Trzy dni po wyjeździe Anny podreptałem w jej ślady. Pożegnałem się z Beatą, zwinąłem swój majdan i wsiadłem do pociągu. Nareszcie wracałem do domu, do punktu wyjścia, do źródła życia:

– Ma – ma! Ma – ma! Ma – ma!...

I tak dalej, i tak dalej...

## Posłowie

Gdyby ktoś nie wiedział, czy też miał pewne wątpliwości co do treści tej książki, to pragnę poinformować zainteresowanych, iż jej nadrzędnym i podstawowym celem było danie świadectwa czasów i przeżyć – nie tylko erotycznych – jej głównego bohatera i nic ponadto. Tylko tyle.

Tyle! Reszta – w mogile.

Autor